

JEREMIEJ PARNO

ZBUDŹ SIĘ W FAMAGUŚCIE

Stary, przesiąknięty dymem palonego kiziaku mnich buddyjski zszedł z wieży. Przepłukał usta świeconą wodą z wzorzystego nefrytowego flakonika, z jękiem rozprostował połamane reumatyzmem plecy i podreptał zameldować, że z przełęczy idzie pieszo obcokrajowiec. Oczywiście, ani samej przełęczy, ukrytej za górami, ani tym bardziej tajemniczego piechura nie widział..

Gdy MacDonald przekonał się, że przełęcz Lha-la zatkana jest śnieżnym czopem, zmuszony był zejść do wąwozu. W głęboko wyżłobionym rwącym nurtem kanionie, jak w tunelu aerodynamicznym ryczała rzeka. Było to zaledwie tysiąc stóp w pionie, ale zejście było równoznaczne z cofnięciem się o tysiąc lat.

Minikomputer bez wyraźnego powodu połączył się z satelitą komunikacyjnym i wziął namiar. Na ekranie nieprzyjaźnie zamigotało rubinowe światełko. Można było nie sprawdzać - źródło zakłóceń znajdowało się gdzieś za przełęczą, która o tej porze roku powinna być już dostępna, ale wciąż znajdowała się w śnieżnych okowach.

Fort, a właściwie "rdzong" - ten tybetański wyraz oznacza nie tylko twierdze, lecz także jednostkę administracyjną - stał na straży jedynej drogi, która wiodła przez przełęcz do zagadkowej doliny "Siedmiu szczęśliwych klejnotów". W promieniu setek mil było to jedyne zamieszkałe miejsce, gdzie można było doczekać końca pory monsunowej i początku topnienia śniegów. MacDonald dysponował nie tylko szkicem topograficznym, ale również wyjątkowo dokładną mapą sporządzoną na podstawie danych kosmicznej fotogrametrii. Nie wiedział jednak, co oczekuje go tam, za pokrytym dachówką murem i basztom przypominającymi nisko ścięte piramidy.

Wynikało to nie tylko ze skąpych informacji, ale i z chronicznego bałaganu administracyjnego. Z prawnego punktu widzenia, rdzong, którego ludność liczyła obecnie niewiele ponad sto osób, był suwerennym księstwem, związanym z sąsiednim królestwem Brug-jul więzami starej, feudalnej zależności. Zgodnie z zawartym w siedemnastym, a może w osiemnastym wieku traktatem, miejscowy radża, czy jak go tam zwali, płacił rocznie władzom centralnym trybut w wysokości czternastu i pół juka suszonego sera, który do niedawna uważany był za podstawowy środek płatniczy kraju. Ponieważ "Wszechpochlaniające światło" nie posiadało przedstawicielstw dyplomatycznych w żadnej ze stolic świata, wjazd doń, jeżeli w ogóle był możliwy, nie był ograniczony radnymi przepisami prawnymi.

Gdy MacDonald minął granice wiecznych śniegów i zaczęły pojawiać się sztywne krzewy rododendronów, nagle, za zakrętem ścieżki otworzyła się przed nim oszałamiająca sceneria. Horyzont przecinały ostre kontury nie zdobytych siedmio-tysięczników. Dal bez końca, w której matowe grzbiety górskie o wszelkich odcieniach błękitu piętrzyły się stopniowo narastającymi falami, przekształcała się w przepaść, pełną kłębiącej się mgły. Ścieżka wisząca tuż nad krawędzią urywała się u stóp lekko odchylonego ku górze muru, ułożonego starannie z ciemnych, płaskich głazów pokrytych żółtymi liszajami porostów. Przylepione doń niewysokie baszty i widniejące nad ogrodzeniem kultowe stele sprawiały wrażenie naturalnego przedłużenia gór. Twierdza wyglądała jak dziwaczny, wyrzeźbiony przez wiatr monolit. Obramowana piargami, statyczna panorama tchnęła bezgraniczną samotnością i wiecznym spokojem.

Fort, na szkicu MacDonalda opatrzony niezbyt zrozumiałym napisem "Wszechpochlaniające światło", wyraźnie rysował się w pustce miedziano-zielonego nieba. MacDonald dotknął szczeciny, którą zarosła jego pokrytą zaschniętymi strugami twarz i popatrzył na siebie krytycznie. Koszula pod pomarańczowym anorakiem była kiedyś niebieska, ale teraz pociemniała od kopci, pokryta krwawymi śladami ukąszeń pijawek z mglistego lasu, przypominała raczej szmatę, w którą malarz wytarł swoje pędzle. Buty, szczególnie zaś getry, napęczniałe wilgocią, pełne były powbijanych koleców.

Mógł tylko mieć nadzieję, że mieszkańcy "Wszechpochlaniającego światła" spotykali się już z alpinistami, w ostatnich latach szeroką falą wdzierającymi się w dziewicze obszary "Mahalangur-

Himal". W przeciwnym razie wezmą go za włochatego, przynoszącego nieszczęście "telme" i obrzucą kamieniami.

MacDonald rozwiązał plecak i wyciągnął przenośną radiostację. Gdy tylko włączył zasilanie, w słuchawkach zawyła burza i zaskrzypiała przerdzewiała blacha. Najwidoczniej nazwa "Wszechpochlaniające światło" była prorocza. Fala radiowe były pochłaniane prawie we wszystkich zakresach.

Różnica między tutejszymi a bhutańskimi prawami była dość istotna. Zdobycie przepustki do Brug-jul ryło praktycznie niemożliwe. MacDonald mógł się cieszyć, że odwiedziny zamkniętego królestwa nie leżały w jego planach. Przecież nawet w najgorszym przypadku, jeżeli bhutańskim przepisom podlega również "Wszechpochlaniające światło", nikt nie może zabronić samotnemu alpinistcie rozbicia namiotu pod ścianami rdzongu lub koło tego zagajnika po drugiej stronie kanionu.

"Taki kompromis chyba nie zaszkodzi handlowi wymiennemu" - doszedł do wniosku MacDonald. Miał nadzieję, że za rarytas, jakim była tu butelka whisky i karton papierosów uda mu się dostać coś do jedzenia.

MacDonald złożył antenę teleskopową, złożył ramkę pelengacyjną i na wszelki wypadek, chcąc uchronić baterie przed wilgocią, schował radiostację do plastikowego worka. Papierosy na wysokości prawie trzynastu tysięcy stóp zupełnie nie smakowały, postanowił więc skrócić swój ostatni postój.

Do celu było już bardzo niedaleko - należało tylko przejść po moście z pięciu bambusów oplecionych lianą na drugą stronę rzeki. W blasku fałszywych słońc ta niepewna konstrukcja przypominała pajęczynę, pobłyskującą kropelkami rosy. MacDonald dobrze wiedział, jak często podobne kładki się załamywały, zrzucając ludzi w szalejące, białe od piany potoki. Ale innego wyjścia nie było - musiał zacisnąć zęby i wejść na te zielonkawe, o charakterystycznych kolankach słomki. Mostek kołysał się i wyraźnie uginał pod nogami. Wilgotne podeszwy ześlizgiwały się co chwile, bardzo przeszkadzał plecak. Ręce mimowolnie zaciskały się na "poręczach" - identycznych, oplecionych lianami bambusach. Himalajskie mosty były poważną próbą charakteru nawet dla tak doświadczonego alpinisty, za którego słusznie uważał się Charles MacDonald, doktor elektroniki i obywatel australijski. O ileż prościej byłoby przelecieć nad szalejącą w otchłani ponurą rzeką po dobrze umocowanej "fiksami" linie.

Zapadał już zmrok, gdy MacDonald doszedł do zbitych z potężnych cedrowych bali wrót, strzeżonych przez parę straszliwych masek uwieńczonych koronami z ludzkich czaszek o płonących cynobrem oczodołach.

Początkowo przybysza uznano za "gościa", choć nie miał on wcale prawa do tak wysokiej i przynoszącej zupełnie wymierne korzyści rangi. Zresztą, to nieporozumienie wyjaśniło się natychmiast, gdy tylko zaprowadzono MacDonalda do komnat najwyższego lamy. Początkowo obaj byli rozczarowani tym spotkaniem. Bariera językowa była nie do pokonania. Co prawda MacDonald zdołał wyjaśnić gestami, że przyszedł z gór, ale nie mógł się zorientować, jak te pantomimę zrozumiał duchowy przywódca maleńkiego księstwa. Zasuszony staruszek, przypominający pociemniałą od starości figurkę z drzewa sandałowego, zdążył już jednak wyrobić sobie opinie o przybyszu.

- Kapo re?- zapytał, zauważywszy, że biały barbarzyńca nieprzystojnie gapi się na jedwabną, pokrytą aplikacjami kapę z wyobrażeniem nauczyciela mądrości Padmasmbhawy.

MacDonald nie zrozumiał pytania, ale pokazał lamie język. Ten gest uważano tu za coś w rodzaju przyjacielskiego pozdrowienia. Gdy alpinista zauważył, że lama ma na sobie taką samą czapkę ze złotą gałką jak ten wyhaftowany na jedwabiu jegomość, groźnie ściskający w rękę berło z nanizanymi na nie czaszkami i szkieletem pochylił z szacunkiem głowę. Być może kontemplacja świętych atrybutów sprawiła, że nagle doznał daru objawienia i kierowany przemożnym impulsem uznał, iż należy przejść do czynu. Podskoczył do leżącego przy progu plecaka, wyciągnął pieczołowicie przechowywaną butelkę "G and B" i z pełnym szacunku uśmiechem wręczył ją gospodarzowi. Była to najlepsza ze wszystkich możliwych decyzji.

Lama uśmiechnął się miło i przywołał gestem krótko ostrzyżonego nowicjusza w takiej samej, wyszarzałej czerwono-brązowej szacie, odsłaniającej prawe ramie. Chłopiec pobiegł gdzieś za kolumny zaczepiając po drodze o poobwieszany pstrymi szarfami zielony bębenek i niema audyencja trwała nadal.

Młody mnich wrócił wkrótce w towarzystwie tłumacza. MacDonald natychmiast zorientował się, że ten korpulentny, o prawie czarnej opaleniznie mężczyzna, to Szerpa - przewodnik. Wszedł do komnaty nie zdejmując dawno zdefasonowanego filcowego kapelusza. Teraz tylko zrzucił z ramion i związał rękawami w pasie swą czubę - ciepły tybetański chałat.

Na potężnej Piersi Szerpy dumnie połyskiwał złoty żeton "Tygrysa śniegów" - najwyższa alpinistyczna nagroda, przyznawana za zdobycie ośmiotysięcznika. MacDonald wiedział, że tylko bardzo bogatego człowieka może być stać na wynajęcie takiego przewodnika.

- Jak się pan ma? - odezwał się Szerpa zupełnie przyzwolitą angielszczyzną i przedstawił się. Ang Temba... Pochodzę z Solo-kimbu w Nepalu i pracuje na kontrakcie.

- Bardzo jestem rad, mister Temba - szczerze ucieszył się MacDonald i wyciągnął rękę. - O ile zrozumiałem, zgodził się pan pełnić role tłumacza?... To wspaniale! Będę panu niezmiernie zobowiązany. Zauważył pełne wyczekiwania spojrzenie swojego rozmówcy i przedstawił się pospiesznie. - Charles MacDonald z Sydney... To w Australii, mister Temba.

- Świątobliwy lama Ngagwan - Temba wskazał staruszką - chce wiedzieć, jak pan się tu dostał.

- Chętnie wyjaśnię - zaczął szybko tłumaczyć MacDonald.- Pan, mister Temba, zna góry o wiele lepiej ode mnie. O tym wymownie świadczy pańska odznaka - wskazał na żeton. - Nasza grupa miała przeprowadzić wstępne rozpoznanie podejść do Sijama Targi. Była to cześć przygotowań do przyszłorocznej próby wejścia na szczyt. Razem z partnerem wyszedłem z dużego obozu, by zbadać trawers komina skalnego na styku lodowców w odległości trzech godzin marszu. Szliśmy bez liny po idealnie równym płaskowyzu i nie spodziewaliśmy się żadnych trudności. Pogoda jednak się załamała, że żlebów zaczęła unosić się mgła i zasłoniła wszystkie punkty orientacyjne. Uznaliśmy, że trzeba wracać i wtedy właśnie nagle, bez najmniejszego hałasu zeszła na nas lawina i rozrzuciło nas w obie strony. Lawina wlokła mnie chyba z pięć albo i więcej minut. Kilka razy uderzyłem o kamienie i tylko cudem pozostałem przy życiu. Gdy wszystko się skończyło i udało mi się w jakiś sposób wydostać spod śniegu, mgła zgęstniała tak, że nie widziałem nic na odległość

wyciągniętej dłoni. Czekałem prawie doba zanim widoczność uległa poprawie, a potem ruszyłem, orientując się za pomocą kompasu. Wyszędłem jednak nie w okolice obozu, lecz na zupełnie nieznaną drogą. Próbowałem połączyć się z kolegami drogą radiową, ale wszystkie moje próby zakończyły się niepowodzeniem. W eterze szalała jakaś burza elektromagnetyczna. Czy tutaj tak zawsze, mister Temba? A może we wskazania kompasu też nie należy wierzyć?

MacDonald zamilkł. Wyglądało na to, że jego wyjaśnienia uznano za przekonujące, a zadane na końcu pytania były dobrą puentą. Szerpa krótko streścił lamie emocjonującą opowieść gościa. Staruszek najwidoczniej przyjął ją do wiadomości i zadał jakieś krótkie pytanie

- Świątobliwy lama interesuje się pańskimi planami na przyszłość - przetłumaczył Szerpa

- Proszę powiedzieć świątobliwemu ojcu, szanowny kolego, że chwilowo nie mam żadnych określonych planów. Chciałbym najpierw dojść do siebie i nieco się podleczyć... Być może uda mi się nawiązać łączność z kolegami albo oni mnie znajdą...

W jaki sposób znalazł się pan w lesie? - Ang Temba prześliznął się wzrokiem po plamach, jakie na jego odzieży pozostawiły długo krwawiące ranki. - O tej porze prawie nie sposób go przejść ze względu na pijawki.

- Ścieżka kończyła się na półce skalnej, która wydała mi się zbyt wąska... Musiałem szukać okrzętej drogi. Może dłuższej, ale za to bezpieczniejszej.

- Bezpieczniejszej? Mogły pana wyssać co do kropli. Gdzie pan zszedł ze ścieżki?

- Tuż obok kamiennej piramidy, na której przywiązuje się wstążka i kładzie pieniądze

- Darkszed - powiedział Temba zwracając się raczej do lamy, a nie do tego na wpół szalonego włóczęgi, który zdecydował się iść w porze monsunowej przez las, kiedy to drzewa i trawy pokryte są krwiożerczymi pijawkami spadającymi z góry i gotowymi wpełznąć do butów przez najdrobniejszą szczelinę.

Oczywiście pańska ekspedycja miała licencje? - zapytał Ang Temba i MacDonald mógłby przysiąc, że pytanie to Szerpa zadał z własnej inicjatywy, by poprzeć jakieś swoje argumenty.

Oczywiście! Oto moje dokumenty - MacDonald odsunął nieco suwak i wyciągnął portfel. Jakby nieumyślnie pokazał jego lewą cześć, która wypchana była najrozmaitszymi kartami kredytowymi i wyciągnął australijski paszport z wizami sąsiednich państw.

Lama i Szerpa długo kartkowali postemplowane strony, wymieniali co chwila niespieszne i zupełnie niezrozumiałe dla Australijczyka zdania. MacDonald zdołał rozpoznać tylko trzy znajome słowa. Kilka razy padły słowa: "alpinizm" i "Bhutan" oraz wspomniana przez Szerpe nie zdobyta Sijama Tara. Lodowy tron siedmiookiej, miłosiernej bogini udostępniony został dopiero w ubiegłym roku. Temba najwidoczniej powtarzał opowieść alpinisty Płynnym ruchem ręki nakreślił w powietrzu zarys grzbietu górskiego i gwałtownym gestem zaznaczył komin skalny. Można już było nie wątpić, że stał się rzecznikiem cudzoziemca.

Lama raczej się nie upierał, ale i nie spieszył się z wyrażeniem zgody. Obaj rozmówcy tak dalece zgłębili się w rozważanie wszelkich pro i contra, że MacDonaladowi wydawało się, iż całkowicie już zapomnieli o co toczy się spór.

- Może pan, rzecz jasna, mieszkać tu tak długo, jak pan zechce - oznajmił Temba, przypomniawszy sobie wreszcie o czekającym na decyzje gościu. - Pozostaje tylko problem wyżywienia.

- Przecież mam na to wystarczające środki! - zawołał MacDonald i potrząsnął portfelem.

- Sprawa jest dość skomplikowana - Temba wrzucił ramionami z zażenowaniem. - Przełęcz, sam pan wie, są zasypane śniegiem, a w ogóle drogi są tu przez sześć-siedem miesięcy w roku nieczynne... Krótko mówiąc, dowóz jest trudny, a miejscowych zapasów starcza tylko dla tutejszych mieszkańców. Jednym słowem, nie sądzę, by udało się panu kupić żywność i opał sir... A może ma pan jakieś przedmioty do wymiany?

MacDonald uśmiechnął się, że myśli intensywnie.

- Wszystko co miałem, zostało w obozie podrapałem się w głowie - tu są tylko niezbędne rzeczy... No cóż, mam trochę papierosów, jakieś lekarstwa, grzałkę katalityczną, bez której mogę

się obejść... W ostateczności gotów jestem rozstać się z namiotem, śpiworem i... Zresztą, mogę poświęcić wszystko - poza radiostacją - to moja ostatnia nadzieja...

Gdy tylko Szerpa przetłumaczył jego słowa gospodarzowi, stary lama skinął głową i zwrócił się bezpośrednio do MacDonalda.

- Świątobliwy lama powiada - Szarpa nie ukrywał zadowolenia - że człowiek nie powinien rozstawać się ze swoimi narzędziami pracy. Może pan bezpłatnie jeść wraz z mnichami dopóty dopóki nie zostaną otwarte drogi. Świątobliwy lama chciałby porozmawiać z panem o lekarstwach, ale nie teraz, lecz później, gdy będzie miał wolny czas.

"No, pomogła moja whisky!" - MacDonald spojrział z wdzięcznością na wielkiego Padmasambhawę, który natchnął go tą genialną myślą i zaczął rozpływać się w podziękowaniach.

- Nie ma się pan z czego tak cieszyć - po przyjacielsku ostrzegł go Temba. - Oni jedzą tylko dwa razy dziennie: o wschodzie słońca i w południe. I co to za jedzenie! Długo pan na nim nie pociągnie. Ryż i suszone owoce są tu tylko od święta, poza tym - wyłącznie gorąca polewka z rampy... Oczywiście, że to lepsze niż nic i z głodu pan nie umrze, ale... - jakby przecząc własnym słowom, Szerpa z powątpiewaniem wzruszył ramionami. - W porządku! - machnął energicznie ręką. - Spróbuje porozmawiać z sahibem, na pewno nie odmówi ziomkowi pomocy.

- Co? - zdziwił się szczerze MacDonald. - Jest tu jeszcze jeden Australijczyk?

- Jest jeden - sprecyzował dokładnie Temba. - Ze Stanów Zjednoczonych, stan Filadelfia - i wskazał gdzieś na północ.

Robert Smith z Filadelfii przebywał we "Wszechpochłaniającym świetle" już drugi tydzień. W przeciwieństwie do swego niespodziewanego "ziomka", przez cały czas myślał w jaki sposób, legalny lub nie, dostać się do tajemniczego królestwa. Po nieudanej próbie dostania się do Brug-jul z Kalimpongu, zastosował manewr obejścia i czekał na otwarcie dróg, by posłać nowe podanie do Thimpchu. Oczywiście, prawie nie liczył na pozytywną decyzję, ale przypuszczał, że wraz z ożywieniem ruchu odżyje miejscowy rynek. Smith był z wykształcenia chemikiem, był również weteranem wodny wietnamskiej i parę ostatnich lat zajmował się badaniami rytualnych brązów lamajskich, które wciąż piętrzyły przed nim kolejne zagadki.

Wszystko zaczęło się od świątynnego dzwoneczka dril-bu, którego zadziwiająco czysty i delikatny dźwięk nie milknął przez długie minuty. Smith zidentyfikował w stopie srebro, złoto i nawet iryd, próbował zrekonstruować receptę, ale bez rezultatu. Dzwoneczek odlany według woskowego modelu oryginału żadnymi szczególnymi właściwościami akustycznymi się nie odznaczał. To samo spotkało Smitha, gdy próbował wytapiać metal do maleńkich tybetańskich talerzyków cin-lin. Oryginał, ozdobiony przedziwnie posplatany wzorem "nici życia" dźwięczał jedenaście minut od momentu uderzenia go srebrną wadzą, kopia natomiast milkła w ciągu kilku sekund. Nie pomagało ani dokładne kopiowanie stopu, ani badanie pod mikroskopem elektronowym struktury krystalicznej, ani nawet oksydowane zreprodukowanie magicznej "nici życia", którą Tybetańczycy z niejakim brakiem szacunku nazywali kiszkami Buddy". Aż nagle, gdy uniwersytet podjął decyzję, by temat skreślić z planu i Smith prawie popadł w czarną rozpacz, analiza dokonana spektrografem masowym wykazała że w stopie znajdują się wyraźne ślady pierwiastka o liczbie atomowej 43-technetu. Łatwo pojąć zaskoczenie badaczy, gdy weźmie się pod uwagę, że do niedawna na Ziemi nie istniał ani jeden atom tego pierwiastka. Można było tylko zgadywać, w jaki sposób w odlewie pochodzącym najpóźniej z końca osiemnastego wieku pojawił się technet.

Temat natychmiast został reanimowany i solidne dotacje posypały się jak z rogu obfitości. Smith natomiast otrzymał stosowne stypendium i pomknął w Himalaje, by kupować stare wyroby z brązu. W każdym razie taką wersję usiłował przedstawić alpiniście z piątego kontynentu.

Smith przybył do "Wszechpochłaniającego światła" karawaną złożoną z dziesięciu jaków i zorganizowaną przez Ang Temba. Umowa, którą Smith zawarł z Szerpą w Katmandu była, jak do tej pory, jedynym sukcesem chemika z Filadelfii.

MacDonald siedział na skórze himalajskiego niedźwiedzia naprzeciwko Amerykanina i co chwila pochylał się, by z bambusowej rurki pociągnąć łyk gorącego piwa cz'ang - miejscowej egzotyki.

- O'okay, Charlie - zgodził się Amerykanin, gdy tylko wysłuchał smutnej opowieści o blaskach i cieniach alpinizmu.

- Mogę panu odstąpić trochę żywności.. Oczywiście za cenę, jaką płaciłem w Katmandu.

- Ale nie jesteśmy w Katmandu... - zaczął protestować uradowany MacDonald, Smith jednak przerwał mu stanowczo.

- Ani centa więcej! To moja ostateczna decyzja, Charlie. Jeżeli zaś chodzi o zwierzęta, to boje się, że w niczym nie mogę panu pomóc. Nawet jeżeli odpowiedź z Thimpchu będzie pozytywna, to nie oddam panu ani jednego jaka. Któż może wiedzieć, co mnie spotka w takim kraju jak Shutan? Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe?

- Ależ skąd! I tak jestem panu niezmiernie zobowiązany.

- Co innego, jeżeli zgodzi się pan pójść ze mną. Przetniemy, mam nadzieję, Bhutan z północnego wschodu na południowy zachód i wrócimy do cywilizowanego świata. Proszę się nie spieszyć z odpowiedzią. Niech się pan rozejrzy, zastanowi... Czasu mamy, niestety, aż nadto.

MacDonald nie spieszył się z odpowiedzią, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że do zakazanego królestwa, bez względu na okoliczności, nie ma prawa wstępu.

- A dlaczego nie spróbuje pan szczęścia w dolinie "Siedmiu szczęśliwych klejnotów"? - próbował delikatnie zasugerować mną marszrutę. - Przełęcz Lha-la uwolni się od śniegu lada dzień i tam można by chwilowo poszukać brązów.

- To niemożliwe - pokręcił głową Smith. Przysunął się bliżej rozmówcy i powiedział szeptem: Niech pan o tym więcej nie wspomina.

- Ale dlaczego? - MacDonald posłusznie ściszył głos.

- Niektórzy sądzą, że za przełęczą rozpoczyna się droga do cudownej krainy wszelkiej szczęśliwości. Lepiej nie kusić licha.

- Pan poważnie?

- Gdyby pan wiedział, co ja wycierpiałem przez ten brąz! - Smith gwałtownie zmienił temat. Przywlokłem się tu po to, by zdobyć bhutańskie brązy, rozumie pan - właśnie bhutańskie! Ale oni nic, dosłownie nic nie chcą sprzedać. Nawet za dwie butelki "Canadian Club" nie mogłem dostać dwóch mizernych muzycznych talerzy! A na ulicy Tybetańskiej w Katmandu jest ich do licha i trochę.

- No więc o co chodzi?

- Przecież mnie są potrzebne bhutańskie.

- A jeżeli spróbować za przełęczą? Choć zerknąć jednym okiem - MacDonald próbował poprowadzić rozetowe w interesującym go kierunku. - W raju nawet mnisi będą przystępniejsi..

- Psst! - Smith uniósł ostrzegawczym gestem palec. - Ani słowa więcej. - Nawet pan nie podejrzewa, jak fanatyczni są tutejsi mnisi - Czerwone Czapki". Jednym słowem, niech pan trzyma język za zębami, bo skomplikuje pan życie sobie i mnie. A ja, doprawdy, nie szukam dodatkowych kłopotów.

"Ten Jankes wcale nie jest takim prostaczkiem na jakiego wygląda przy pierwszym zetknięciu" pomyślał MacDonald.

Smith oparł się plecami o juki, odsunął ostygłe już piwo, nabrał powietrza w płuca i wyciągnął skądś nowiutki kornet. Popłynęła przejmująca, trochę urywana melodia. Potem Amerykanin zaśpiewał ochryplym i dość miłym głosem. Jedynie piosenka była dość dziwna.

Zaśnij z dziewczyną na rosistej łące,

Zbudź się pod krzyżem w Famaguście...

Famagusta?

MacDonald trafił kiedyś do tego miasteczka, przesyconego zapachem smażonej makreli. Wyraźnie przypomniał sobie grecki cmentarz, wysypane oślepiająco białym koralowym tłuczniem alejki i zakurzone, oblepione brudną pajęczyną cyprysy. Kontrast z rosistą łąką był uderzający.

MacDonald wstał, opłukał ręce wodą z wysokiej, bambusowej butli i po pochyłej kłodzie z wycięciami zamiast szczebli zszedł na dół.

Małeńki oddziałek z przemycaną heroiną pełził po grani na niewielkiej, jak na Himalaje, wysokości. Przez jedenaście dob strzałka lotniczego wysokościomierza drgała przeważnie wokół kreski oznaczającej 3000 metrów. Potem rozpoczęło się stopniowe podejście. Po minięciu bez trudności chińskich posterunków granicznych, których usytuowanie było dobrze znane, dowódca dał sygnał do krótkiego odpoczynku.

Pakistańczyk Abbas Rahman położył automatyczny karabin "M-16" i zaczął rozwiązywać plecak. Należało już wyciągnąć dywanik, by powitać wschód słońca pierwszą modlitwą prawowiernego muzułmanina - as-subh. Sadżad - dywanik, który Abbas przywiózł z pielgrzymki do Mekki, leżał pod zestawem wysokościowym i ochraniał plastikowe woreczki z drogocennym proszkiem. Do tego, ważącego około dziesięciu kilogramów kompletu należał dwumiejsowy, nylonowy namiot, dwa ocieplane śpiwory, nadmuchiwane materace i lekka kuchenka spirytusowa z plastikowymi naczyniami. Żywność i amunicję niósł partner Abbasa, jednooki Muslim, który znał góry nie gorzej od giaurów Szikari - przewodników oddziału. Wieloletnia praktyka dowiodła, że niesiony na plecach ciężar nie powinien przekraczać trzydziestu dwóch kilogramów i dlatego, nie licząc broni, każdy niósł dziewięć- dziesięć kilogramów narkotyków. Według cen czarnorynkowych ładunek ten miał wartość około ośmiu milionów dolarów. Tak dochodowy interes usprawiedliwiał każde ryzyko i wszelkie straty.

A ryzyko było spore. Rozproszone oddziały powstańców z plemienia Khampa zmuszone były zejść z gór i szukać schronienia wśród sąsiednich plemion. Pojedyncze grupki, zapędzone w głuche pustynie, ustronne pieczary i na trudno dostępne przełęcze, zmuszone były czasowo zaprzestać otwartej walki. Doprowadzeni do rozpaczki ludzie tylko z rzadka wychodzili na szlaki karawan, by w poszukiwaniu żywności, broni i lekarstw zaatakować transport wojskowy lub po prostu ściągnąć danina z kupców.

Khampa, wychowani w lamaistycznych tradycjach poszanowania wszelkich przejawów życia, nie dążyli do przelewu krwi i gdy otrzymali to, co było dla nich najniezbędniejsze, na długo znikali w górach. Ale dla mafii, wpływowej i wspaniale zaopatrzonej w opium, stali się prawdziwym biczem bożym Wolni od wielu przesądów młodzi powstańcy, choć nosili na swych wojskowych kapeluszach z szerokimi rondami kokardy z podobizną dalajlamy, wcale nie chcieli powrotu dawnych czasów. Zнали prace Marksa i Sun Jat-sena, a każdy z nich miał krewnych, którzy zapredali ciało i dusze dymowi przynoszącemu cudowne sny. Nic więc dziwnego, że Khampa wyjątkowo surowo rozprawiali się z handlarzami "białą śmiercią".

Dopóki muzułmanie - strażnicy odprawiali salat, a kulisi podgrzewali duszone mięso z ryżem, przywódca oddziału - szczyły lecz silny starzec niewiadomej narodowości - rozmawiał o czymś szeptem z dwoma Szikari. Byli om ubrani w bawełniane koszule, wypuszczone na przepaski biodrowe i mimo że nogi mieli całkiem gołe, wcale nie odczuwali chłodu. Nalegali, by ruszyć w dalszą drogę. Jednogłośnie radzili sahibowi, by obszedł Wielkie Jezioro od północy tą starą dawno już nieużywaną ścieżką po której Tybetańczycy pędzili kiedyś na himalajskie bazyry kozy, objuczone woreczkami z solą. Mimo przewężeń, które trzeba było przechodzić parami i z asekuracją linową, była to zupełnie bezpieczna droga, prowadząca bezpośrednio do Niebieskiego Wąwozu, gdzie można było przenocować w opuszczonej gompie.

I właśnie tam, przed samym zejściem w dół, kiedy oddział minął skała całą w świętych zakłęciach, zaś na dole widać już było drzewce z modlitewnymi flagami i ogonami jaków, przemytników czekała zasadzka. Ponieważ wiszący most został zerwany przez przybór wody i oddział musiał przeprowiać się po wążutkiej grobli, kontrabandziści szli powiązani linami w pary. W tym miejscu uderzyła w nich salwa.

Gdy Abbas i Muslim zobaczyli, że idący przed nimi kulisi padli twarzą w śnieżny pył, pokrywający gałązki rododendronu, natychmiast rzucili się na ziemie, wgnieceni w rozmiękły grunt ciężarem plecaków.

Abbas uwolnił się z szelek plecaka i ukrywszy się za nim, gorączkowo, zdzierając skórę z palców odbezpieczył karabin. Strzelił na oślep, przetoczył się w bok i, pochylony, zaczął wycofywać się w górę zbocza po osypujących się i wilgotnych od topniejącego śniegu kamieniach. Na dobrą sprawę napastnicy wtedy właśnie powinni go wykończyć, gdy nagle Muslim, który wciąż jeszcze nie zrzucił swego niewygodnego bagażu rozrzucił ręce i upadł pod nogi partnera. Abbas upuścił karabin i runął w śnieg. Wczepieni w siebie potoczyli się w dół skłonu.

Potem było urwisko, upadek. Abbasowi wydawało się, że to już koniec, ale po uderzeniu, po oślepiającym bólu i wstrząsie nastąpił długi lot w duszących kłębach piasku i śniegu, przy akompaniamencie trzasku gałązek i łomotu kamiennej lawiny. Ocknął się późną nocą. Dygotał z zimna. Każdy ruch powodował eksplozję bólu. Zagryzł wargi by nie jęczeć i starannie obmacał całe ciało. Podniosło go to nieco na duchu. Wbrew oczekiwaniom, wszystko wskazywało na to, że kości miał całe. No, może z wyjątkiem żeber, bowiem coś straszliwie kpiło go w boku. Abbas zebrał całe swe siły i energie, by się podnieść. Wyciągnął rękę i dotknął czegoś twardego. Jak oparzony cofnął palce.

Jednakże chłód i nieomal odczuwalne wrażenie nadciągającej śmierci zmuszały do działania. Abbas obmacał, najpierw ostrożnie, potem w gorączkowym pośpiechu, leżące obok ciało i wreszcie odnalazł to, czego szukał. Poza plastikowymi woreczkami z narkotykiem i puszkami z konserwami, znalazł w plecaku Muslima koc z wielbłądziej wełny, zmianę bielizny i materiał wybuchowy. Kryjąc się pod kocem i próbując rozgrzać się własnym oddechem, przemytnik włączył latarkę. Widmowe światło hipnotyzowało spojrzenie, odwracało uwagę od mrocznych myśli.

Człowiek przeżył i mógł dziękczynną modlitwą powitać wschód słońca, by później rozgrzany jego palącymi promieniami, znów pobłogosławić niebiosa. Lecz nie należało modlić się obok trupa. Nieboszczyk jest zawsze nieczysty, nawet jeżeli był przyjacielem. Najpierw należało oddać ciało ziemi i dokonać ablucji. Z trudem przewrócił ciężkie zwłoki na wznak. Pierś Muslima była przestrzelona w trzech miejscach. Z trudem, pomagając sobie zębami i bagnetem, Abbas zdołał zdjąć z nieboszczyka skafander, moherową kamizelkę i szerokie-wojskowe spodnie. Ostrożnie przespał heroinę do kieszeni skafandra Muslima i schował wszystko do plecaka. Równie starannie i bez pośpiechu zdjął ze sztywnej, martwej ręki zegarek elektroniczny, a swój, uszkodzony, rozduśił obcasem. Zebrał sterczące spod śniegu kamienie i byle jak przykrył nimi zwłoki. Następnie postąpił chwilę nad samotnym kurhanem, odmówił modlitwę za zmarłych i podniósłszy z ziemi karabin, zaczął oddalać się od prawie pionowej, wypełnionej śniegiem szczeliny skalnej, która ocaliła mu życie.

Na szkicu Muslima od Wielkiej Grani prowadziły tylko dwie, oznaczone punkcikami, ścieżki. O północnej, na której poległa wczoraj większa część oddziału, trzeba było zapomnieć. Pozostawało więc tylko jedyne wyjście: ominąć Niebieski Wąwóz od południa i dojść granią do przełęczy, za którą znajdowała się droga do Bhutanu. Innej szansy na szybkie dotarcie do zamieszkałych miejsc nie było.

Na ceremonii ofiarowania wszechświata przybyli wszyscy mieszkańcy fortu. Oprócz bezpośrednio uczestniczących w ceremonii testu siedmiu mnichów, przed wejściem do świątyni tłoczyli się chłopcy, kupcy i czterej żołnierze, którzy tworzyli garnizon fortu. Ich bezpośredni dowódca i żywiciel, piastujący rangę komendanta rdzongu, został dopuszczony do ołtarza, przy którym naczelny lama obsypywał ziarnem schodkowy, inkrustowany turkusami i koralami dysk, którego poszczególne, koncentryczne stopnie były symbolem otoczek świata iluzorycznego.

Mnisi, odziani w szkarłatne, odświętne stroje czytali święte teksty. Ich umyślnie niskie, dudniące basem głosy zlewały się w monotony, przytłumiony łoskot, jakby rozbrzmiewający z obnażonego brzucha Majtrei - Buddy Przyszłości.

Umilkł mrużący chór. Dźwięk gongów obwieścił kulminacyjną chwilę nabożeństwa - wyniesienie mandali. Starsi lamowie, trzymając się za ręce wypowiedzieli zaklęcia, położyli dysk na jedwabny ręcznik i wyszli na zewnątrz.

Garstka świeckich rozsypała się, ludzie padli na ziemię i pełzli za odrodzonym wszechświatem, całując ślady swoich mądrych pasterzy i zbierając rozsypane ziarna. Jęczmień i proso, które pozostały po obrzędzie karmienia ptaków, uzyskiwały cudowne właściwości leczenia stu ośmiu chorób.

Na tym nabożeństwo się zakończyło i wszyscy mogli wrócić do swoich zajęć. Jednak mieszkańcy "Wszechpochlaniającego światła" nie rozchodzili się. Nie wiadomo skąd rozeszły się słuchy, że minionej nocy w Niebieskim Wąwozie wybuchła krwawa walka i tuż przy gompie leży cała góra trupów. Z ust do ust przekazywano straszliwe szczegóły rzezi. Największy niepokój wywołała wieść, że podobno miał miejsce przypadek rollangu Ozył nieboszczyk i natchniony złymi mocami, kieruje się obecnie w stronę rdzongu. Gdy dotrze do świata żywych, może stać się przyczyną niezliczonych nieszczęść.

Przesądni górale szeptali zaklęcia, które miały ich bronić i ze wszystkich sił kręcili modlitewne młynku odpędzając nieszczęście od siebie i swego domu.

- Co robić z demonem, który do nas idzie, nauczycielu?

- Zostańcie na miejscu - uspokajał lama, który nauczał niezrównanej sztuki pisania. - Nieulekniomy duch, to największa z cnót.

Jednym słowem, w przeddzień przybycia Abbasa Rahmana, sytuacja w rdzongu "Wszechpochlaniające światło" była dość napięta. Ale wbrew mrozącym krew w żyłach plotkom i mrocznym przepowiedniom pod wrota twierdzy podjechał wcale nie ten, kogo się spodziewali. Zamiast ludojada z okrwawionymi ustami i pustymi oczodołami wszyscy ujrzeli czarującą, złotowłosą damę. Jechała na srokatym mule na czele wielkiej karawany. Tuż za nią podążał, kołysząc się w siodle wąsaty mężczyzna w nepalskiej czapeczce "topi", procesje zaś zamykał wędrowny jogin z posochem w kształcie trójzębu. Zgodnie z obyczajem szedł boso, przez ramie, na szatę wędrownego mnicha, zarzuconą miał skórę lamparta, która najwidoczniej służyła mu jako mata do ćwiczeń. Nikt z gości ani bhutańskich poganiaczy nie przypominał piekielnej zjawy. Wręcz przeciwnie, złotowłosa kobieta pierwsza biała lady, która zaszczyliła swym przybyciem "Wszechpochlaniające światło" od początku jego istnienia, przypominała raczej niebiańską dziewczicę - apsare.

Już na samym początku wyjaśniło się że wąsaty jegomość w nepalskiej czapeczce swobodnie mówi po tybetańsku i nie potrzebuje usług tłumacza, wszędobylskiego Szerpy Ang Temba. Wiadomość o tak wielkim cudzie została przyjęta nie tylko ze zrozumiałym zachwytem ale i z pewną dozą niepokoju. Do tej pory wszyscy biali podróżnicy, którzy dotarli do rdzongu - i ci, o których wspominały stare kroniki, i ci dwaj ostatni - bili całkowitymi niemowami.

Czy nie kryje się w tym jakieś perfidne czarnoksiężstwo? A jeżeli karawana i piękność, jadąca w męskim siodle to tylko omam, rezultat czarów ludojada, który przybrał postać Europejczyka? A może to karmiczne widzenie narzucone psychiczną mocą jogi w skórze lamparta?

- Zaufajcie mi - odpowiadał na pytania wartowników wąsaty jegomość - Jesteśmy takimi samymi ludźmi z krwi i kości jak wy. Nie jesteśmy duchami, demonami, niewolnikami, ani dziećmi niewolników. Nazywam się Tommaso Valenti i przybyłem do was z pismem jego wysokości króla Bhutanu potrząsnął w powietrzu zwojem papieru z woskową pieczęcią - A oto moja żona Joy- płynnym, aktorskim gestem wskazała piękną kobietę. - Za nią natomiast, jak widzicie, stoi świątobliwy Norbu-rin-po-cz'e z klasztoru "Tygrysie leże", który ma pismo do wielce świątobliwego naczelnego lamy.

- To znaczy, że idziecie z Bhutanu? - z zaskoczeniem zawołał komendant rdzongu i dotknął amuletu na piersi, by zabezpieczyć się przed urokiem.

- Z samej stolicy Thimpchu - odpowiedział człowiek, który podawał się za Tommasa Valentiego. Prosimy o chwilową gościnę i zapewniam was, że udzielicie jej godnym ludziom...

Ci, którzy stali na górze zdążyli już dokładnie obejrzeć przybyszów od stóp do głów i musieli przyznać, że sprawiali oni korzystne wrażenie. Lama Ngagwan-rin-po-cz e postanowił, że najpierw wybada poganiaczy Są rdzennymi Bhutańczykami, prostodusznymi i szczerymi. Potem można będzie porozmawiać z przybyłym lamą który w dodatku ma ze sobą list. I dopiero później, kiedy wyrobi już sobie pogląd na sprawę, przyjmie królewskiego gościa i jego żonę.

Mimo ascetycznej surowości reguły klasztornej Ngagwan-rin-po-cz'e przyjął swego wędrownego brata z królewskim przepychem. Lecz wszystkie te prowincjonalne próby zaimponowania światowym szykiem spaliły na panewce.

Jogin przyzwyczajony do zimna i zahartowany podczas swych wędrówek, usiadł daleko od rozsnuwających wonny dym grzałek i prawie nie tknął postawionych przed nim potraw. Spróbował jedynie kwaśnego mleka, którego odrobinę nalał sobie do nieodłącznej, żebraczej miseczki z orzecha kokosowego. Nieco później wyssał kilka owoców, pozostawiając nienaruszone pestki z załączkami nowego życia i tylko pił dużo herbaty szczerze przyprawionej tłuszczem, solą i lekko podrumienionej jęczmienną mąką.

- Jakie są twe zamiary, świątobliwy? - okazał uprzejmie zainteresowanie naczelny lama, choć z przywiezionego przez Norbe listu wiedział już, że ma on zamiar odbyć pielgrzymkę do doliny.

- Pójdę na spotkanie światłości - gość użył najprostszego eufemizmu.

- Jeszcze jedna dolina na twojej drodze - skinął z aprobatą głową lama Ngagwan. Alegoria umyślnie miała dwuznaczny charakter, gdyż słowo "dolina" można było pojmować zarówno jako tajemny kraj za przełęczą, jak też i jeden z etapów "samadahi".

- Jestem gotów - odpowiedział po prostu jogin, odgadując niedopowiedzenie.

- Jakże się tam dostaniesz, bracie? - zapytał z ledwo wyczuwalną nutką dezaprobaty starzec. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie będzie pomagać człowiekowi, który, niestety, nie potrzebuje niczyjej pomocy.

- Bogaty sahib który przybył z daleka z przepiękną apsarą, wziął mnie do swojej karawany.

- Co? - szepnął oszołomiony lama Ngagwan, z trudem panując nad sobą. - Czy biali ludzie również chcą przedostać się do doliny?

Spełniły się jego najgorsze przypuszczenia. Obcy ludzie mieli zamiar i to zupełnie otwarcie, zejść z przełęczy Lha-la na zielone niziny!

Bezpośrednich zakazów, oczywiście, nie było. Lecz przez stulecia dojrzewała i wyraźnie skryształizowała się w świadomości pokoleń tradycja, której naruszenie równałoby się świętokradztwu.

Zaszczyt przejścia przez przełęcz mógł spotkać tylko bezinteresownego poszukiwacza prawdy, który przez całe swe życie przygotowywał się do tego heroicznego czynu. Jakże mogło być inaczej? Całkiem możliwe, że właśnie życie było jedyną zapłatą z zuchwałą próbą. Nie na próżno w kronikach "Wszzechogarniającego światła", które dokładnie opisywały trzynaście minionych stuleci, nie było ani słowa o tym, czy ktoś z tych, kto poszedł w dolinę, wrócił, czy też wszyscy pozostali w "Krainie obrazów". (Było to jeszcze jedno omówienie stosowane przez kronikarzy).

- Czeka was marny koniec, strącenie w mrok złych reinkarnacji.

- Dojdę - nieustraszenie zaoponował Norbu.

- Nikt nie zna dróg tam, w nizinie.

- Wyczuwam przyciąganie, jak igła magnes.

- Tam, gdzie zdoła ocaleć taki jak ty, bracie - Ngagwan nie wątpił, że lama mówił prawdę i zdawał sobie sprawę, że zdoła on pokonać wszelkie przeszkody - tam, gdzie ty zdołasz przejść, cudzoziemiec zginie. Czy nie lękasz się, że wieszysz innych na pewną śmierć? - spróbował innych argumentów.

- Nikogo nie wiodę - odparł bez cienia bojaźni Norbu. - Zmierzamy tą samą drogą, lecz ku różnym celom. Każdy ma prawo iść swoją drogą i nikt za nikogo nie odpowiada.

- Trudno było się z nim nie zgodzić. Norbu-rin-po-cz'e ani na jotę nie odszedł od ducha i litery buddyjskiej etyki.

- Lecz jeżeli cudzoziemcy kierują się złą wolą? - starzec zdecydował się podzielić swymi obawami. Jeżeli sprowadzą oni śmierć na wiele niewinnych istot?

- Nie poczułem tego - odpad twardo jogin.

- Ale to obcy ludzie.

- On zna nasz język.

- Dusza nie potrzebuje języka.

- Zna pasze prawo.

- Znać, to znaczy żyć. To za mało - tylko pamiętać cztery wielkie prawdy. Przecież nawet ptaki zapamiętują słowa... Jak ci ludzie żyją?

- Po swojemu... Ale szanują nasze obyczaje i z całego serca tęsknią za naszą przeszłością. Jego droga jest długa i godna szacunku. Jak i wasza świątobliwość, szuka zasług w uczoneści. Znany mu jest tajny język Kalaczakry, mandale i znaki na naszych kamieniach czyta jak wielki pandit. Przez trzy lata żył w klasztorze Spittug, gdzie otrzymał święcenia i tajne imię, aby mógł je wymienić, gdy nadejdzie czas opuścić walący się dom.

- Czy znasz już, bracie, czas? - spytał cicho Ngagwan.

- Wkrótce - beznamiętnie odparł Norbu. - Biali ludzie znikną lekko i szczęśliwie, jak obłoczek w promieniach słońca.

Profesor Tommaso Valenti spędził kilka lat w Ladakh i otrzymał w najstarszym klasztorze Spittug najwyższy stopień lha-rams-pa metafizyki buddyjskiej.

Do ekspedycji w dolinę "Siedmiu szczęśliwych klejnotów" szykował się długo i starannie, można powiedzieć, całe życie. Gdyby nie zaskakujący, wedle opinii przyjaciół i znajomych, ożenek z młodzieńką aspirantką, wyprawa mogłaby odbyć się o wiele wcześniej. Ale co zostało zapisane w górze, to musi się spełnić - Valenti mimo wszystko dostał się do legendarnego rdzongu "Wszepochłaniające światło ". Fakt, że stało się to właśnie teraz, w roku Wody i Psa, a nie w zeszłym, czy jeszcze wcześniej, był bez znaczenia.

Valenti potraktował spotkanie z naczelnym lamą jako wydarzenie o niezwyklej wadze. Zbliżając się do ostatecznego celu swych badań utracił niezaprzeczone prawo badacza do błędu. Naprawić lub zmienić cokolwiek już nie było można. Dlatego też Valenti okazał stanowczość i pozostawił żonę u stóp wzgórza, choć Joy straszliwie chciała odwiedzić klasztor. Wyjątkowo tolerancyjni buddyści oczywiście dla białej lady zrobiliby wyjątek, lecz zgodnie z regułą kobieta nie powinna była przekraczać zakazanej granicy i to przeważało szale.

Wielce świętobliwy Ngagwan przyjął gościa w bibliotece, okazując w ten sposób szacunek jego zasługom naukowym. Stary lama przywitał Valentiego przy samych drzwiach. Po wymianie powstań wskazał mu uprzejmie honorowe miejsce przy północnej ścianie, wisiała na niej wspaniała Yang-ka, na której wyobrażono Władcę demonów Dankana, galopującego po falach krwi na koźle o spiralnych rogach. Zgodnie z tradycją Valenti podał świętobliwemu lamie hadak - niebieską, jedwabną szarfę z hieroglificznymi znakami szczęścia i długiego życia, na której z trudem mógł utrzymać troskliwie dobrane dary - zegarek elektroniczny, blaszane pudełko z kandyzowanymi owocami, wodę kwiatową i bursztynową broszkę, zakupioną na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Bursztyn, którym w Tybecie leczono przerost tarczycy, ceniono tu o wiele wyżej od złota.

Starzec podziękował i na chwilę wyszedł do przylegającego do biblioteki pokoiku. Wyszedł z niego z białym tkanym w domu ręcznikiem i figurką z brązu. Valenti z zapartym tchem rozpoznał P'radznpjaparamitre - opiekunka uczonych mnichów. Połączony odlew zachwycał elegancją linii i precyzją wykonania detali.

- Przecież to prawdziwe arcydzieło! - zawołał Valenti. - Ma co najmniej dwieście lat! - Nie wiem - lama potarł broszkę o chałat. - Niech przyniesie panu szczęście.

Valenti dyskretnie spojrzął na stelaże wypełnione deskami drukarskimi i owiniętymi w cenne tkaniny książkami - plikami nie zszytych kart, ozdobionych niejednokrotnie wykwinnymi miniaturami. Na pewno były tu i stare, być może nikomu jeszcze nie znane manuskrypty pisane na liściach palmowych i paskach bambusa grawerowane na płytkach z kości słoniowej, złota i srebra. "Czy przed wyprawą uda mi się zapoznać z tym skarbcem starej mądrości? - przemknęła przez głowę myśl. - To niemożliwe, by nie znalazł się tu choć krótki opis kraju za przełęczą...

- Jak się podobał panu Bhutan? - uprzejmie spytał lama.

- Ta wspaniała kraina przekroczyła wszelkie moje wyobrażenia - szampowo, lecz zupełnie szczerze odpowiedział Valenti.

Po wymianie ogólnych uwag i charakterystycznych dla Wschodu zapytań o rodzinne miejsca, zdrowie bliskich osób i widziane w drodze osobliwości, stopniowo zaczęli się zbliżać do głównego tematu rozmowy

- Bardzo chciałbym odwiedzić dolinę za przełęczą Lha-la - otwarcie wyjawiał swe najgorętsze pragnienie Tommaso Valenti.

- Nie ma tam nic godnego uwagi - odparł ostro mnich.

- Cóż więc jest? - z delikatną natarczywością dopytywał się Włoch. - Pustynia, na której błędzą obrazy. Nic więcej.

- No, a za nią?

- Pustka - westchnął lama i nagle dodał. - Tego nikt nie wie...

- A więc nie popiersie świętokradztwa ośmielając się zejść do doliny? - Nie wiem. Proszę spytać samego siebie... Czy pan się nie boi?

- Czego?

- Strach jest owocem niewiedzy. Prawda i strach nie dadzą się ze sobą pogodzić. A więc nie boi się pan?

- Istnieje coś straszniejszego niż niewiedza - Valenti spróbował przejąć inicjatywę. - Imię jego - głupstwo... Czyżby uważał pan, że jest przygotowany do tej wyprawy? - Pod względem duchowym czy materialnym?

- O materialnym później... Przecież wie pan doskonale, dlaczego mnisi umartwiają swe ciało. To walka, często bezskuteczna, z nienasyconym przywiązaniem człowieka do czczych rozkoszy, pokonanie zgubnej władzy pragnień. Czy próbował pan choć raz zdławić pożerającą pana żmije? Zmierzyć otchłań w sobie samym? Zrozumiał pan, do czego jest pan zdolny, a czego, nawet pod groźbą śmierci, nigdy pan nie uczyni? Jak więc można, nie znając swych ograniczeń, narażać się na tak wielką pokusę?

- Ma pan racje, świątobliwy ojczy - zasepił się Valenti. - Choć spędziłem pewien czas w przybytku, to myśli me były inne niż u pozostałych braci. Zawsze badałem rozum, nigdy zaś ducha. Lecz w mej słabości tkwi moja siła. Droga poznania jest czysta, natomiast pragnienie, by odsunąć zasłonę tajemnicy, choć jak każde pragnienie jest źródłem cierpień, różni się jednak od nikczemnych dążeń. I dlatego, jak sądzę, zdołałem oprzeć się pokusom.

Lama ze zmęczeniem przymknął oczy. Tak, brak leku wypływający z niewiedzy to po prostu głupota. Jogin powiedział prawdę. Dni tego człowieka zostały już zważone i policzone. Niech więc koniec połączy się z początkiem.

- Kiedy chcecie wyruszyć? - zapytał lama, z trudem unosząc pergaminowe powieki. - Niech ludzie trochę odpoczną, a jaki nabiorą sił.

- To rozsądne.

- Czy tam, za przełęczą są ludzie? Wsiej Klasztorzy? - Valenti z trudem opanowywał podniecenie.

- Proszę na to nie liczyć. Tak będzie lepiej. Niech pan weźmie jak najwięcej prowiantu. Dróg, oczywiście, zupełnie pan nie zna?

- Świątobliwy Norbu-rin-po-cz'e łaskawie zgodził się nam towarzyszyć. - Towarzyszyć wam, czy was Prowadzić?

- Czy to nie jedno i to samo?

- Gdy zorientuje się pan na czym polega różnica, będzie już za późno...

- A więc nie będzie pan stawiać przeszkód? - nie wierząc własnemu szczęściu spytał cicho Włoch. - Kimże jestem, by przerywać łańcuch, w którym jedno ogniwo łączy się z drugim - z goryczą w głosie spytał lama. - I w którym miejscu należy go rozłączyć?

Żegnając się z mędrcom Valenti przez chwile zatrzymał spojrzenie na malowniczej Yang-ka, gdzie pałający gniewem Dankan ze stojącymi dęba włosami pełnymi ukrytej energii, pędził, ogarnięty złotymi płomieniami i czarnym dymem. W dolnej części obrazu malarz, który zapewne nie widział nigdy morza, namalował niebieskie fale. Z głębin wód strzelały trzy ogniste snopy i rozpląwały się na tle zielonych pagórków wyraźnymi podobnymi do grzybów, słupami dymu. Nieznany malarz w żaden sposób nie mógł widzieć podwodnych wybuchów atomowych, ale tryskające z głębin strumienie ognia przysłonięte straszliwą bielą rozpalonej pary wyglądały tak naturalistycznie, że Włoch z trudem powstrzymał okrzyk zdziwienia.

"Najpóźniej koniec osiemnastego stulecia - określił wiek obrazu. - Cóż to jest: zadziwiająca przepowiednia, czy zupełnie przypadkowy zbieg okoliczności, kiedy coś obcego i nieznanego przybiera zrzędzeniem losu znajome kształty?" - zapytywał sam siebie Valenti.

Zszedł ze wzgórza wstrząśnięty. Była to jedna z tych porywających zagadek, które wciąż dostarcza nam niepojęta w samej swej istocie sztuka.

Ngagwan-rin-po-cz'e zamknął się w bibliotece i próbował odzyskać wiara i zwykły spokój ducha. Okazywało się, że pod żadnym pozorem nikogo z tych ludzi nie należało wpuszczać do doliny Im prędzej opuszczą oni "Wszepochłaniające światło" i wyniosą się do swych pieleszy, tym lepiej dla wszystkich istot związanych z utrzymaniem tajemnicy.

Lama wyrwał kartka z zeszytu i nakreślił kilka linijek do zarządcy sąsiedniego rdzongu, który znajdował się w odległości pięciu dni drogi od "Wszepochłaniającego światła". Lama Nadom Lapo, który miał szerokie pełnomocnictwa i dysponował imponującym oddziałem składającym się z siedemnastu żołnierzy, mógł rozwiązać wszelkie wątpliwości

Przełożony klasztoru minął świątynie i za refektarzem zaczął ostrożnie schodzić po wykutych w skale stopniach. Strome schody prowadziły do pieczar pustelników.

W oddalonej grocie, do której prawie nie dobiegały nikłe odbłaski dnia Nagwan spostrzegł niejasne zarysy ludzkiej postaci. Pustelnik, obnażony do pasa, siedział na wytartej skórze lamparta zapatrzony w siebie tylko znaną dal. Lama oparł dłonie na głowie marzącego i sprawił, że widzenia rozplynęły się.

- Teraz pójdziesz - powiedział wręczając mu posłanie i ponownie dotykając splątanych włosów zaczął dokładnie opisywać drogę.

Człowiek zaczął oddychać nosem szybko i głęboko, jakby usiłując węchem złapać trop i nagle przez nieprzeniknioną warstwę skał ujrzał znajomą ścieżkę, pobłyskującą mikią żwir, ubogie, kamienne piramidki na przełęczach i kruche, śnieżne mostki wiszące nad leczącą otchłanią. Gdy we wczesnym dzieciństwie oddano go do klasztoru, został poddany dokładnym oględzinom i wyznaczony do roli biegacza. Po wielu latach uporczywego treningu opanował niewiarygodną sztukę rkang-mgjoga - górskiego szybko biegacza. Jego jedynym zadaniem było dotrzeć do celu, nie zatrzymując się przed przeszkodami, nie tracąc czasu na jedzenie i sen. Mógł umrzeć jak zagoniony koń, ale dopiero gdy spełnił polecenie.

Gdy starzec zdjął swe suche, pozbawione ciężaru i ciepła dłonie z głowy młodzieńca, ten, jak gołąb pocztowy, utrwalił już w sobie najdrobniejsze szczegóły oczekującej go drogi. Bezwiednie wyszedł na światło, które nie mogło oślepić jego skierowanego do wnętrza jaźni wzroku i wkrótce znikł za zakrętem, który prowadził do sąsiedniej pieczary. Tam zaczynało się podziemne przejście, prowadzące za mury twierdzy.

Przy pomocy niezawodnego Szerpy MacDonald wynajął niziutką, długogrzywą kobyłki i pojechał na rozpoznanie przełęczy.

- Dlaczego mu pomagasz? - zganiał Szerpe świątobliwy Norbu-rin-po-cz'e. - Ma czarną aureę. Czyż nie widzisz tego?

- Zaprzyjaźnił się z moim sahibem... - próbował się usprawiedliwić Ang Temba.

- Sahib tworzy swą własną karmę, a ty swoją - tonem ostrzeżenia oznajmił Norbu. - Nikomu nie dano składać odpowiedzialności za własne postęпки na ramiona innych. Stało się to, co się stało. Na przyszłość bądź bardziej rozważny.

W tym samym czasie MacDonald kołysał się już w siodle jadąc z prędkością najwyżej dwóch mil na godzinę. Zrobione ze sznura strzemiona były zbyt krótkie i jazda z zadartymi ku górze kolanami nie należała do najwygodniejszych. Oczywiście przedłużenie strzemion nie sprawiłoby większych trudności, ale MacDonald pogodził się z niewygodą - gdy nogi wloką się po ziemi, powodów do irytacji jest jeszcze więcej.

Ołowiany blask nieba, gorąco i monotonne kołysanie usypiały Seria z automatu zaskoczyła go w chwili, gdy puściwszy wodze przypadł do twardej, pachnącej cierpkim potem grzywy. Wyleciał z siodła, upadł na gruboziarnisty piasek, zdołał jednak schwycić się strzemienia. Przerażone zwierze zarżało krótko i powlokło za sobą jeźdźca. Znowu gdzieś z boku zadudnił automat kreśląc błotnistymi fontannami fatalną linię. Legła ona tuż obok, ciskając MacDonaldowi w twarz ostre bryzgi. Australijczyk podciągnął się wysoko na strzemieniu i osłaniając się koniem, bokiem podpełzł do najbliższego głazu. I natychmiast po wierzchołku kamienia uderzyła jeszcze jedna, krótka seria.

MacDonald, mrużąc bolące oczy i łapczywie chwytając powietrze, oparł się plecami o głaz i po omacku odszukał pistolet. Oczywiście "walter" kalibru 5,6 z całkowicie zbędnym w tej sytuacji tłumikiem w porównaniu z automatem był zwykłą zabawką. Ale jeżeli pewny swej bezkarności zabójca zechce wyjść z ukrycia i postawić kropkę nad i, spotka go niezbyt przyjemna niespodzianka.

Gdy MacDonaldowi wrócił już normalny rytm oddechu, przemył oczy wodą z manierki, przepłukał gardło i napił się do syta. Teraz był już gotów spotkać wroga twarzą w twarz. Popłynęły sekundy odmierzane niespokojnymi uderzeniami serca. Pierwsza, nieskończona godzina minęła w pełnym napięciu oczekiwaniu i całkowitej beczynności. Jeżeli była to wojna nerwów, to trafił mu się przeciwnik nietuzinkowy, zasługujący na najwyższą ocenę. Oryginalny sposób prowadzenia ognia nie zdradzał w gruncie rzeczy ostatecznych intencji. Koń, który był w górach bardzo cenionym zwierzęciem, mógł być dodatkiem do głównej nagrody za jego, MacDonalda głowę. Przełożył broń do drugiej ręki i wytarł spoconą dłoń. Pomyślał, że tłumik lepiej zdjąć. Kiedy trzeba będzie strzelać, to lepiej, by wystrzał był jak najgłośniejszy. Co drugi pocisk w magazynku zawierał dodatkowy ładunek i przy uderzeniu w cel wybuchał jak małeńki granat.

Wyjął magazynek i przełożył nabój z pomarańczowym paskiem na samą górę.

Profesorowi Valenti, który mógł jak lama Norbu zająć jedną z cel, wspaniałomyślnie pozwolono rozbić namiot u stóp klasztornej wzgórza. W taki oto sposób w rdzongu "Wszepochłaniające światło" powstał drugi ośrodek zachodniej cywilizacji.

Mimo iż od świtu do południa profesor spędzał czas z braćmi w dharmie, kontynuując gruntowne studia lamaickiej obyczajowości, mieszkańcy czarnego namiotu godziny wieczorne chętnie poświęcili życiu towarzyskiemu.

Robert Smith, który wynajął jedyny niezamieszkały dom w rdzongu, stał się nie tylko stałym gościem włoskiej pary, ale i wielkodusznym nauczycielem Joy, pragnącej zgłębić bogactwa kombinacji pokerowych rozgrywek. Spotykali się wszyscy prawie codziennie - albo w feudalnej baszcie Anglosasów, albo u Włochów.

Tym razem Smith przyniósł do namiotu sensacyjną wiadomość.

- Dowiedziałem się przed chwilą, że pański przyjaciel lama jest w rzeczywistości dość przewrotną bestią.

- Ale w jaki sposób nas to dotyczy?

- W jak najpaskudniejszy. Krótko mówiąc wszystkie nasze plany idą do diabła... Okazuje się, że wielce świątobliwy w tajemnicy wysłał gońca do gubernatora, żeby w szybkim tempie pomógł mu pozbyć się nas stąd. Nieźle, co? W każdym razie moje nadzieje, że wkrótce uda mi się uzyskać pozwolenie na wjazd do Bhutanu, pozostaną nie spełnione. Nie mogę pozwolić żeby mnie stąd wyrzucono jak jakiegoś pijanego pętaka z porządnego lokalu. Zbyt wiele postawiono na te kartę.

- Przypuszczam - Valenti uśmiechnął się znacząco. - To nie byle co - technet w średniowiecznym brązie! Ale przecież nie będzie się pan wdierał do obcego kraju siłą?

- Doskonale zdaje sobie sprawę, że patrzą tu na mnie jak na kompletnego idiota! - przyznał Smith. Nawet "Tygrys" podejrzewa, że trochę zwariowałem... - Zerknął na statuetkę подарowaną przez lamę, która zgodnie z obyczajem ozdabiała północną stroni namiotu. - Ale czy nie mogliby sprzedać jakiegoś drobiazgu i to za dobre pieniądze? Choć parę sztuk!

- Ma pan apetyt!

- Prawdopodobieństwo sukcesu jest wprost proporcjonalne do ilości przeprowadzonych prób - posmutniał Amerykanin. - To abecadło każdego eksperymentu.

- Rozumiem - westchnął ze współczuciem Valenti.

- Może w dolinie ludzie będą bardziej ustepliwi?

- Nie jestem wcale pewien, że tam w ogóle są ludzie.

- No, a czy nie mógłby pan wziąć mnie ze sobą? - zapalił się nagle Smith. - Skoro nie mogę iść dalej tak czy owak, chętnie bym wypłatał staruszkowi psikusa. Choćby dla zasady!

- O ile dobrze zrozumiałem, to nasza podróż również znajduje się pod znakiem zapytania. A może nie?

- Ale po co ma pan czekać, aż jakiś niedomyty tryton czy trypon, nie wiem dokładnie, porwie posiadane przez pana królewskie pisma? Dlaczego nie wyruszy pan jutro, pojutrze, za dwa dni?

- Wiele spraw - pokręcił głową Tommaso Valenti. - Po pierwsze, nie mam jeszcze całej żywności, po drugie nie zgromadzono jeszcze wszystkich juków... Ale nie to jest najważniejsze. Rzecz w tym, że traktują mnie tu jak przyjaciela i chciałbym nim pozostać bez względu na okoliczności.

- Nawet jeżeli pana, mówiąc wulgarnie, wykopią?

- To ich prawo, mister Smith. Może się to nam podobać lub nie, ale to ich prawo.

- Cóż począć - Amerykanin zasepił się. - A może uważa pan, iż nie pojmuje bardziej szlachetnych uczuć? Doskonale pojmuje... Wschód, jeżeli choć raz da się mu fory, przenicuje człowieka zupełnie. Pozornie nic się nie zmienia, ale jesteś już zupełnie kimś innym... Spędziłem w Wietnamie siedemnaście miesięcy, ale starczy tego na dwóch. Kiedy od naszych chłopaków,

systematycznie obrabiających dżungle, dowiedziałem się, że o mały włos nie zatruliśmy całego okręgu, natychmiast uznałem, że trzeba się stamtąd wynosić - Smith gwałtownym gestem wyciągnął portfel i wyjął z niego polaroidowe zdjęcie, na którym znajdowała się młoda, ujmująca kobieta z dziewczynką na ręku. Obie były w jednakowych, złocistych tunikach z wysokim stójkowym kołnierzem i patrzyły prosto w aparat. Spojrzenie ich podłużnych, nieprzeniknionych oczu było zarazem przestraszone i zawstydzone, jakby fotografie te zrobiono w najbardziej nieodpowiednim momencie.

- Udało mi się. Nie tylko zdołałem się zdemobilizować, ale również zabrałem coś do Stanów. Moja żona Lien - wyjaśnił Smith. - Wzięliśmy katolicki ślub w Sajgonie, ale Beverley urodziła się już w Filadelfii.

- Cudowna twarz! - zawołał z zachwytem Valenti. - Jak z porcelany. Spójrz Joy, jakie delikatne rysy.

- Powiadają, że jeśli Wietnamka jest piękna - wyjaśnił Smith z niedobrym uśmiechem - to jej uroda zbija z nóg.

- Proszę mi wybaczyć, Robercie - profesor przerwał porażony nagłym domysłem - ale pańska żona...

- Tak - potwierdził krótkim skinieniem głowy Smith. - Zginęły w czasie lądowania w Honolulu. - Mój biedaku! - oczy Joy napelniły się łzami.

- Dość! - przerwał jej Smith. - Jak mówili dawniej "niech martwy w grobie spoczywa, a z życia niech korzysta żywy"... Czy weźmie mnie pan ze sobą Tom?

- Też pytanie! - gestykując gwałtownie odparła signora. - Będziemy szczęśliwi, jeżeli pójdzie pan z nami.

- W każdym razie zrobię wszystko, co będę mógł - mniej kategorycznie obiecał Valenti.

Gdy Amerykanin wrócił do swej kamiennej baszty, zastał już w niej MacDonalda, który właśnie usiłował się ogolić przy świetle elektrycznej latarki.

- Czekaliśmy na pana już trzeciego dnia, Charlie. - Smith silnie uściśnął wyciągniętą rękę. - Coś pana zatrzymało?

- Ta przekłeta kobyła. - MacDonald wymownie skinął głową w stronę rzuconego tuż przy wejściu siodła. - Gdy szukałem jakiegoś odpowiedniego brodu, widać pośliznęła się na kamieniach i wpadła do wody. Prąd straszny, wszędzie wiry, ostre jak brzytwa skały... Wyobraża pan sobie moją sytuację?... Wyrzuciło biedaczkę na brzeg trzy mile dalej. Żeby gospodarz źle sobie o mnie nie pomyślał, musiałem jej obciąć uszy - poklepał się po kieszeni. - Nasi farmerzy mają, wie pan, taki dziwny zwyczaj...

- Obawiam się, że ta przygoda będzie pana kosztować z półtora tysiąca - uprzedził go Smith, który zdążył się już zapoznać ze skomplikowanym systemem rozliczeń swojego Szerpy z miejscowymi pastuchami. - Najmniej.

- Cóż mam począć? - rozłożył ręce MacDonald. - Wiec nie dotarł pan do samej przełęczy?

- Nawet nie przepравиłem się przez rzeka. Na Boga, lepiej było iść pieszo przez most. Następnym razem tak zrobię.

- Niech się pan wstrzyma z planami, przyjacielu. Mam dla pana dwie wesołe nowiny.

Już pierwsze słowa Amerykanina pozwoliły MacDonaldowi zrozumieć, że jego godzina wybiła. Szczęśliwy przypadek, na który wciąż liczył, sam wychodził mu naprzeciw.

Smitha nie trzeba było nawet namawiać. Dotychczasowe wysiłki zaowocowały wspaniałym sukcesem. Potrzebny był tylko emocjonalny impuls i upadły Jankes, który wciąż bredził o królestwie Smoków Gromu, równie gorąco przejął się koncepcją, by przedostać się do zagadkowej doliny. Tajny zamysł MacDonalda stał się jego zamysłem.

A teraz sam zapraszał MacDonalda do wzięcia udziału w wyprawie!

Zgodnie z umową Smith poinformował komendanta rdzongu, że nie może już dłużej czekać na pozwolenie wjazdu do Bhutanu i dlatego chce wrócić do Nepalu.

- Jaką drogę sahib wybierze? - spytał Szerpa.

- Czy musimy ustalać to już teraz? - skrzywił się Amerykanin. Nie chciał kłamać bez wyraźnej konieczności.

Oczywiście, sir. Od tego, jak długa będzie droga, zależy ile weźmiemy prowiantu. - Ang Temba był niemile zaskoczony lekkomyślnością swego zleceniodawcy. - Ilość jucznych zwierząt również. - Cóż robić, musi mu przypominać podstawowe zasady. - I poganiacze też powinni wiedzieć z góry, dokąd mają iść.

- Ma pan całkowitą rację, mister Temba - Smith położył dłoń na sercu. - Ale, widzi pan, chciałbym trochę połączyć po okolicy... Może, jeśli się uda, zejdziemy z przełęczy Lha-la w dolinę, by dopiero potem przejść granią do Mustang... Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Jak sahib sobie życzy - obojętnie zgodził się przewodnik. - Tylko, że ja nie znam tej drogi.

- To nie szkodzi, mister Temba - Smith protekcyjnie poklepał po ramieniu wiernego "Tygrysa". Poszukamy wspólnie, a w ostateczności zawsze możemy wrócić.

- W takim wypadku należy wszystko obliczyć jak na najdłuższą drogę. - No to właśnie tak zrobimy.

- Trzeba będzie dokupić jeszcze żywności.

- Czy możemy wyruszyć jutro? - zapytał Smith. - Pojutrze - oznajmił kategorycznie Ani Temba. - Dobrze, ale potrzebny będzie jeszcze jeden koń.

- Dla kogo?

- Dla mister MacDonalda, alpinisty. Uprzejmie zgodził się nam towarzyszyć.

- Nie, sahib.

- Co, nie? - próbował uściślić Smith.

- Nie ma odpowiedniego konia?

- W naszym kontrakcie nie ma mowy o mister MacDonaldzie.

- Ale przecież nie będę od pana wymagał żadnych specjalnych usług! - zawołał zaskoczony Smith. Poza tym, możemy uzgodnić odpowiednią dopłatę do umówionej sumy. Mam nadzieję, że tutejsze władze nie odmówią poświadczenia umowy.

- Nie o to chodzi, sir - niechętnie przyznał się Szerpa. - Po prostu nie chciałbym prowadzić mister MacDonalda do doliny.

- Ale dlaczego, przyjacielu? Dlaczego?

- Jakby to panu powiedzieć, sir. Jednym słowem sprawiałoby mi to przykrość.

- Panu, Temba, czy może komuś innemu? - spytał, zasepiwszy się Amerykanin. - Mam nadzieję, że możemy być ze sobą zupełnie szczerzy.

- Tak, bardzo pana szanuje, sir, ale mądrzy ludzie uważają, że mister MacDonald ma czarną aurę. On nie powinien iść do doliny.

- Szkoda - zmartwił się Smith. - A ja, głupi, dałem mu słowo... Co mam teraz zrobić? - Pewnie trzeba pomyśleć, sir?

- Czy lamowie nie mogliby nam pomóc? Zdjąć, czy rozproszyć te jego aury? Słyszałem, że można coś takiego zrobić.

- Dla lamów nie ma rzeczy niemożliwych, sir.

- No, tośmy się umówili! - Smith jeszcze raz poklepał Szerpę przyjacielskim gestem po ramieniu. W gompie na wzgórzu klasztorным Temba oddał Buddom całe srebro, które pozostało mu z zakupów i poprosił lamę, by jak najszybciej zdjął z niego urok.

Staruszek dotknął suchymi, chłodnymi palcami pochylonej głowy Szerpy i wymamrotał oczyszczające mantry. Pod jego dotknięciem znów powrócił do duszy spokój.

- Obcy darni rzucił na mnie urok - śmierć - poskarżył się Ang Temba. W jego duszy tliła się nadzieja na zmianę wyroków losu.

- Śmierci nie ma uspokoił go lama. - Istnieje tylko przeszłość, przyszłość i czterdzieści dziewięć dni bardo, które je rozdziela. Nie bój się, idź...

Abbas obdarł ze skóry i podzielił pozostawioną przez giaura kobyłę i przygotował, podwędziwszy jej lekko nad ogniskiem, suszone mięso. Było co prawda nieco twarde, ale pachniało apetycznie, o wiele lepiej niż bawole. W suchym i czystym powietrzu gór nie groziło mu popsucie.

Koło głazu, za którym zdołał się ukryć Amerykanin - Abbas wszystkich giaurów nazywał jednakowo - znalazł wygodną jaskinie, a na szerokim, żwirowatym brzegu leżało mnóstwo przyniesionych przez wodę gałęzi, a nawet całych pni. O mieszkanie i opał mógł się więc nie martwić.

Abbas wziął dywanik i zszedł do potoku, aby modlitwą al-isza złożyć hołd nadchodzącej nocy.

Gdy wypowiedział już odpowiednie wersety i wykonywał właśnie itidal, to jest wyprostowywał się po ostatnim pokłonie, za jego plecami rozbłysła latarka. Zastygł na klęczkach, z podniesionymi rękoma w świetlnej elipsie, która natychmiast zgasła i gwiazdy i odbłask piany na wodnym pyłe.

- Wstań - rozległ się cichy rozkaz.

Abbas wstał. Promień powtórzył jego ruch.

- Ręce na kark. Odwróć się.

Teraz latarka świeciła mu prosto w oczy. Ktoś go z ciemności uważnie oglądał. - Dlaczego do mnie strzelałeś? - po długiej chwili milczenia padło nieoczekiwane pytanie. - Przecież to ty zastrzeliłeś mojego konia?

Abbas drgnął i oblizał wyschnięte nagle wargi.

- To był przypadek, prawda? - padło następne pytanie.

- Tak, sir - wykrztusił z trudem kontrabandzista. - Celowałem w pana, sir.

- Dlaczego więc nie doprowadziłeś sprawę do końca? - W spokojnym, pewnym tonie głosu zabrzmiała ironiczna i jakby przyjacielska nutka. - Odpowiadaj, nie bój się...

- Nie wiem, sir - po chwili namysłu przyznał uczciwie Abbas.

- Przecież był ci potrzebny tylko koń, czyż nie? Wcale nie miałeś zamiaru na mnie polować?

- Nie, nie miałem, sir... Mogłem pana zabić, sir, kiedy zdejmował pan siodło, albo potem, na drodze, ale tego nie zrobiłem.

- I to był błąd. Nie musiałbyś teraz stać i czekać na wyrok.

- To prawda, sir.

- Podobasz mi się, chłopie. Odnoszę wrażenie, że mimo wszystko będziemy mogli jeszcze się zaprzyjaźnić. Jak sądzisz?

- Bardzo bym chciał, sir.

- Możesz opuścić ręce... Kim jesteś?

- Nazywam się Abbas Rahman, sir.

- Jak się tu znalazłeś?

- Odłączyłem się od karawany.

- Jakiej?

- Kupieckiej, sir. Byłem strażnikiem.

- Jak to się stało?

- Zeszła lawina. Cudem ocalałem, sir.

- Ach, lawina - w głosie przysłuchującego go człowieka dała się słyszeć ironia. - A w którym miejscu zeszła?

- Na podejściach do Niebieskiego Wąwozu - niechętnie wykrztusił Abbas. Czuł, że to kłamstwo nie wyjdzie mu na dobre.

- Jakie towary wieźli kupcy?

- Różne, sir... Nie interesuje się cudzymi sprawami.

- A więc heroina to twój prywatny handelek? - Pod nogi przemytnika ciężko upadł plastikowy woreczek.

Abbas drgnął i sprężył się cały gotów do skoku poza świetlny krąg, ale władczy głos natychmiast zgasił ten nieświadomy, prawne instynktowny impuls.

- Nie ruszać się! Bo zarobisz kulę.

- Tak jest, sir - Abbas uniósł ręce w uspokajającym geście. - Nie zrobię nic złego

- Widzę, że można się z tobą dogadać - głos podstępnego giaura który jak widać zdążył już obszukać jaskinię, znowu stał się przyjacielski. - Opowiedz mi wszystko tak, jak było naprawdę i wtedy pomyślimy co robić dalej. .

- To nie moje - Abbas ostrożnie dotknął woreczek czubkiem buta - przez pomyłkę wziąłem cudzy ładunek.

- Narkotyki mnie nie interesują. I w ogóle, możesz być spokojny, nie jestem z policji.

- Ach tak, sir...

- A więc, co naprawdę stało się w Niebieskim Wąwozie?

Abbas przez chwilę milczał, porządkując myśli a następnie dokładnie i całkiem szczerze opowiedział o zasadzce i wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce po strzelaninie

- A teras... Wróćmy do samego początku - zaproponował człowiek z latarką wysłuchawszy uważnie przemytnika. - Po co był ci potrzebny koń?

- Po co może być człowiekowi potrzebny koń? - wzruszył ramionami Abbas. - Chorałem jak najszybciej wrócić do domu.

- Ciecze się, że nasze plany są jednakowe .. Mam dla pana propozycję, mister Rahman - odezwał się z szacunkiem nieznajomy. - Czy nie chciałby pan podjąć u mnie służby, by po maleńkiej podróży znów wrócić do cywilizowanego świata?

- Nie śmiałem o tym nawet marzyć! - Abbasowi aż odebrało dech z radości. - Gotów jestem być pańskim wiernym niewolnikiem, sir!

- Po co niewolnikiem? Będzie pan robił to, co do tej pory. I choć, jak się mogłem przekonać, pieniędzy pan nie potrzebuje, a właściwie przestanie ich pan potrzebować, kiedy, powiedzmy, upłynni pan produkty gotów jestem sownie wynagrodzić pańskie usługi... Powiedzmy - dwa tysiące dolarów. Urządza to pana?

- Niech pana Allah wynagrodzi!

- Doskonale! Od tej chwili jest pan u mnie na służbie, mister Rahman Może pan wstać albo siedzieć jak pan woli. Wierze panu... Jutro przybędzie tu niewielka karawana, do której się Przyłączymy. Żeby wszystko odbyło się gładko i bez zbytecznych pytań, przygotowałem dla pana maleńką legendę. Mam nadzieję, że wie pan co to takiego?

- Oczywiście, sir. Już raz zajmowałem się czymś takim...

- Ponieważ spodobał mi się pański pomysł z lawiną przyjmijmy go za podstawę. Różnica polega na tym, że teraz obydwaj będziemy alpinistami, pracującymi w jednej ekspedycji mającej na celu rozpoznanie podejść do Sijama Tary. Czy taki wariant panu odpowiada?

- W zupełności, sir. Jak pan rozkaże, sir.

- Proszę zapamiętać, że nazywam się Charles MacDonald i powinien pan zwracać się do mnie po imieniu. Zgoda?

- Jak pan sobie życzy, mister MacDonald.

- No to proszę szybko zwiąć swój dywanik i pójdziemy do pańskiej pustelni.

Noc minęła we wrzuszającej zgodzie. Abbas wciąż dorzucał do ognia modrzewiowe gałązki i aromatyczny, ciężki dym przeszywany ostrymi iskierkami ścielił się nisko nad chłodną już ziemią.

Zbliżał się himalajski świt. Ognisko już nie oslepiało, lecz świat na dole wciąż jeszcze był nieruchomy i czarno-biały. Bulgotała sowita parą rzeka. Ciągająca się tuż nad kamienistym piargiem, pokryta szronem ścieżka, wyglądała lak nieważka pajęczyna. Gdy na dróżce pojawiła się niewyraźna postać, MacDonald początkowo nie uwierzył własnym oczom. Zerknął na swego

rzeczywiście drzemiącego kompana i uniósł lornetkę. Do rozwidlenia ścieżek naprawdę zbliżał się człowiek. Wszystko wskazywało na to, że był to ktoś tutejszy. Poruszał się dość szybko, ale nie biegł jak sportowiec-maratończyk lecz sunął, jakby ślizgając się po powierzchni ziemi.

- Abbas!- MacDonald bezszelestnie wstał i obudził pochrapującego Pakistańczyka. - Proszę tam spojrzeć. - Rzucił mu schowany przezornie do śpiwora "M-16" z lunetą.

Przemytnik obudził się błyskawicznie i automatycznym gestem przyłożył broń do ramienia.

- Madżun - oznajmił po dłuższej obserwacji. - Porusza go obca wola. W tym kraju, w którym ludzie podobni są do demonów i oddają cześć ansabom, takie rzeczy się zdarzają. Nieraz o tym słyszałem od starszych.

- Co to takiego madżun? - spytał MacDonald nie opuszczając lornetki.

- Człowiek opanowany przez złe moce, sir.

- Ach wiec to tak?... Cóż, bardzo dobra definicja... No, zdejmij go.

- Jak to... zdjąć, sir?

- Ognia! - cicho rozkazał Australijczyk.

Na pożegnanie Robert Smith ofiarował naczelnemu lamie półgalonowy termos, który wywołał prawdziwą sensację wśród miejscowej elity, natomiast komendanta rdzonga, przedstawiciela króla Burg-jul obdarował całkowicie nieprzydatnym, ale mimo wszystko ciekawym ekspresem do kawy, wykonanym z żaroodpornego szkła.

Smitha żegnali wszyscy. Chłopcy-nowicjusze owinięci w żółte szmaty łąpczywie zaciągali się ostatnimi podarowanymi papierosami. Kobiety wyniosły kulki masła, skamieniały groch, owinięty w szmatkę, i trochę miodu dzikich pszczoł.

Nawet stary lama ukazał się w drzwiach biblioteki, zszedł kilka stopni w dół i podniósł błogosławiącym gestem różaniec.

Smithowi wydało się to wszystko czymś nie powtarzalnym. Na zawsze porzucił dziwaczny, miły światek, do którego serdecznie już przywykł i miał teraz wrażenie, że wszystko to jest jakieś nierealne. Zaraz zrobi jeden krok, potem następny i wszystko rozplynie się jak miraż.

Kierując się jakimś nagłym porywem pomachał na pożegnanie lamie białym szalem, jak rycerz ruszający na wyprawę krzyżową, a następnie podbiegł do Joy i przykląkł przed nią. Podniosła go, pocałowała w czoło i, nie ukrywając łez, przeżegnała na drogę.

Smith uściskał Valentiego, wskoczył na swego pokornego konika i wyjechał za wrota.

Doganiając karawanę wyciągnął połyskujący złocistym żarem kornet i zagrał ulubioną melodie, która szarpała i koła jego zagubione serce:

Zaśnij z dziewczyną na rosistej łące...

Nie obejrzał się ani razu i dlatego nie zobaczył, jak w rozwarte wrota twierdzy wśliznęło się ciemne widmo z krwawą ramą na piersi. Ludzie rozbiegli się na boki zostawiając mu wolne przejście do schodów i niewidzący lunatyk zaczął powoli wchodzić na nie, szukając nogą kolejnych stopni. Gdy znalazł się na podeście, na którym stał naczelny lama, podał mu poplamiony krwią zwitek papieru i padł pod nogi swemu panu.

Po trzech dobach karawana, do której nad rzeką przyłączyli się MacDonald i Abbas, dotarła do świętego gaju, związanego z kultem Bogini Matki. Z tego miejsca rozpoczynało się długie podejście do Przełęczy.

Koło kamienia wymalowanego ognistym cynobrem - tam, gdzie dawniej składano ofiary z ludzi - Ang Temba dał znak, by wszyscy stanęli i zeszli z koni. Poganiacze wzięli przygotowane dary i nieśmiało weszli w cień omszałych, wiekowych jodeł.

Kierując się zwykłą ciekawością, Smith ruszył za swymi ludźmi. Gdy zobaczył, że w jednej z górnych pieczar rozjarzyło się światło wdrapał się na najbliższą skałę i zaczął wchodzić po cyklopicznych schodach. Świątynia, w której tubylcy zapalili swe kadzidlane pałeczki przypominała raczej jakiś diabelski chram, w którym zwykli ucztować kanibale. Nierówne ściany i zakopcone, osnute pajęczynami sklepienie pokryte były malowidłami przedstawiającymi niesamowite potwory. Okrwawione kły i pazury szat pały biedne ludzkie ciała, czaszki z wyszczerzonymi zębami zwisały ciężkimi girlandami.

Na brudnych, zatłuszczonych i stoczonych przez termity ołtarzach, połyskiwał matowo stary brąz. Smithowi zaparło dech w piersi. Te niepowtarzalne figurki były bezcenne. I, co najważniejsze, nie należały do nikogo! Nikt ich nie pilnował i tylko niezbyt często idący tedy podróżni napełniali pozieleniałe czarki arakiem i bawolim tłuszczem. Wystarczyło jedynie odczekać, aż pójdą sobie poganiacze i Smith mógł stać się właścicielem tutejszych skarbów: mógł pobrać próbki, mógł wziąć ze sobą dowolny przedmiot. Ale nawet nie dotknął żadnej z brązowych statuetek. Tygodnie spędzone w ścianach "Wszechpochlaniającego świała" nie minęły bez śladu. Smith poczuł potężną, powstrzymującą go siłę. Powstała wyraźna granica między tym, co dozwolone, a tym czego uczynić nie wolno pod żadnym pozorem.

Przed zachodem słońca, kiedy pionową ścianę po prawej stronie rozjaśnił ciepły poblask, karawana dotarła do najwyższego punktu przełęczy. Po obydwu stronach rozpościerała się nieogarniona dal. W spokojnym, chłodnym powietrzu słabo kołysały się modlitewne szarfy i wypływały flagi, wetknięte w kamienną piramidę. Poganiacze, składając należną daninę gospodarzom gór, zeskoczyli ciężko na ziemię, by złożyć w ofierze przygotowany kamyczek. Skały podobne do kawałków żeber gigantycznych jaszczurów były całkowicie pokryte wizerunkami bóstw.

Abbas z pogardliwym uśmiechem przejechał obok pogańskiego kopca i dopiero, gdy zobaczył pustą wieżyczka strażniczą, pogładził broda, błogosławiąc Allacha.

- A jednak udało się nam ich wyprzedzić! - uśmiechnął się zadowolony MacDonald. - Na wiezy ani żywego ducha. Jak do tej pory, wszystko idzie zgodnie z planem. A pan miał wątpliwości!

- Przyzna pan, że miałem istotne powody - niechętnie odezwał się Smith.

- Żołnierze zajmują strażnice, gdy tylko przełęcz nadaje się do przejścia, ja jednak liczyłem na to, że triponowi zazwyczaj się nie śpieszy i strażę pojawiają się dopiero po paru tygodniach.

- Tak Charlie, wygrał pan.

- Nie chodzi mi o zakład! - uśmiechnął się zadowolony MacDonald. - Po prostu, gdy wszystko idzie tak, jak planowałem, przeżywam prawdziwą estetyczną satysfakcję. Idea organizuje rzeczywistość, mój drogi...

- Niestety, nie zawsze...

- Zawsze, jeżeli wszystko dokładnie się wyliczy.

- Ale przecież mogli nas wyprzedzić - zaoponował leniwie Smith, przytrzymując konia wozdami na zboczu.

- Nigdy! - roześmiał się zadowolony z siebie MacDonald. - Nawet gdyby przybył goniec?

- Ale nie przybył, przyjacielu, i w tym rzecz. Co wracaj, nigdy nie przybędzie. - Być może - obojętnie wzruszył ramionami Smith.

Postanowili rozłożyć się na nocleg na przełęczy i zaraz o świcie dokładnie zbadać zejście. Szerpa zlecił poganiaczom rozstawienie namiotów, a sam zaczął przygotowywać wyposażenie, rozkładając ha stosiki bloki, młotki, haki lodowe i karabińczyki, przez które przechodzi lina.

Rankiem przystąpili do rozpoznania zbocza. Droga z wiosny do lata prowadziła przez zimę. Północna orientacja skłonu i cień Sijama Tary sprawiły, że śnieg leżał prawie na całej drodze zejścia. Twardy i pewny firn, który pokrywał bardziej poziome fragmenty trasy przechodził w skaliste zerwy i ledwo przysłonięte piargami języki lodowe. Przez lornetkę z pomarańczowym filtrem widać było gwałtowne zawirowania śniegu. Najwidoczniej nad chaosem nadkruszonych skał i zniszczonych moren hulały wiatry o sile huraganu.

- Hmm - mruknął MacDonald w zamyśleniu. - Musze stwierdzić, że spodziewałem się czegoś lepszego.

- Jak pan sądzi, mister Temba, uda się nam zejść? - Smith bez specjalnej nadziei spytał Szerpe, który stał, nie odejmując lornetki od oczu.

Przewodnik ze złością machnął teką, podbiegł do "żandarma" - samotnej skały, stojącej na grani, i zreżnie wdrapał się na wierzchołek.

- Dobry zawodnik! - MacDonald z zawiścią pokręcił głową.

- Spróbujemy, sahib - dość pewnym tonem powiedział powracający Ang Temba. - Są dwa, trzy trudne miejsca, ale przejdziemy je zjeżdżając na podwójnej linie.

- Ale co ze zwierzętami? - zapytał Smith.

- Spróbujemy je spuścić. Jeżeli ocaleje choć połowa, będzie pan mógł mówić, że mieliśmy szczęście, sahib. Przecież poganiacze i tak zostaną tutaj.

- Nie da się ich namówić? - MacDonald zdawał się nie zauważać, że Szerpa całkowicie go ignoruje. Odpowiednio zapłacić?

- Niech pan odpowie, mister Temba - zmarszczył brwi Smith.

- Nie, sir - wycedził przez zęby przewodnik. - Pomogą nam zejść i pójdą do domów. Wrócą po czterech tygodniach i będą na nas czekać przez sieć dni. Jeżeli znajdziemy inną drogę i nie przyjdziemy, odejdą. Taka była umowa i pan o tym wie, sir.

- No, trudno - skrzywił się MacDonald. - Mam nadzieję, że wystarczą nam te cztery tygodnie.

- A wtedy poganiacze pójdą z nami do samego Mustang - starał się go uspokoić Smith. - Ang Temba ma racje - takie były warunki.

- Koi pan mą skołatana dusze - odparł zimno MacDonald.

Potem były pięćdziesiąt trzy godziny straszliwej, wyczerpującej pracy, od której dygotały ściśnięte skurczem mięśnie, pracy, którą przerwał jedynie krótki, podobny do omdlenia sen w jednoosobowym namiociku jakimś cudem przyklepionym do płytkiej szczeliny skalnej.

Ale wszystko skończyło się względnie szczęśliwie, jeżeli nie liczyć, oczywiście, dwóch straconych jaków i konia, którego trzeba było dobić - biedne stworzenie wpadło do zasypanej śniegiem szczeliny i połamało nogi

Obóz rozbili byle jak i po wypiciu szklaneczki nie rozcieńczonej whisky, wleźli do śpiworów. Pograżając się w rozkoszny sen Smith usłyszał jeszcze syk i poczuł upajający zapach polewki, którą przygotowywali bhutańscy poganiacze.

Smith obudził się tuż przed południem i choć w dalszym ciągu rwały go stawy i bolały krwawe pęcherze na rękach napełniało go dawno już zapomniane uczucie szczęścia.

- "Zaśnij z dziewczyną na rosistej łące..."- zaśpiewał ironicznie MacDonald, widząc, że dziwaczny Jankes wreszcie otworzył oczy. - Tu naprawdę jest raj! Nie musiałem nawet podgrzewać wody do golenia, wziąłem prosto z gejzeru... Szkoda, że nie mamy jajeczek... Za to może pan sobie ugotować na śniadanie bażanta. Pełno ich tutaj. I skowronki - MacDonald przymrużył z rozkoszą oczy i popatrzył w niebo. - Czy wie pan chociaż, jak się nazywa to czarujące miejsce? Na mojej wspaniałej mapie jest biała plama. - Wytarł tłuszcz z patelni podpłomykiem z campy, dopił kawę i pobiegł do strumienia. Popatrzył z zachwytem na połyskujące złotem pstrągi przemykające pod prąd, głośno przeplukał gardło, a potem wymył ręce. - Ale zimna! Aż zęby bołą!

- Z lodowca... No i co, pora ruszać?

- Tak, będziemy się zbierać. - MacDonald włączył radiostację i nastawił na te fale, co zawsze.

- Wyje? - zainteresował się Smith.

- Jak sabat czarownic. - Australijczyk wprawnie wziął peleng. - A wiec kurs. jak poprzednio - sto dziesięć.

- Niech i tak będzie. - Smith z trudem wyprostował się i poszukał wzrokiem Szerpy, który gdzieś daleko za strumieniem pasł na bujnych trawach ocalałe zwierzęta. Poganiacze odeszli, pewnie jeszcze o świcie.

Zmierzch zapadł, gdy oddział jeszcze był w marszu. Niebo nad otaczającą dolinę postrzępioną granią jeszcze mieniło się wszelkimi odcieniami wczesnej zorzy, podczas gdy tu, na posmutniałych nagle polach, na których nie widać było ani dróg, ani żadnych innych śladów ludzkiej obecności, nieubłaganie zapadała ciemność. W coraz chłodniejszym powietrzu przelatywały nietoperze.

Skądś nadleciały całe chmury komarów. Pokąsane powieki natychmiast spuchły i zaczęły płonąć boleśnie. Wystarczyło jednak, by Smith tylko pomyślał, że dobrze by było wysmarować się repellentem, gdy nagle zaczął wiać delikatny wietrzyk i rozgonił krwiożercze eskadry.

- Jak na zamówienie! - Odezwał się z zadowoleniem MacDonald. - Warto jednak pomyśleć już o noclegu... Hej, tam widać jakiś ogieniek!

Rzeczywiście, w odległości jakiejś półtorej mili migotało ciepłe, przyzywające światełko.

- Przypomina pochodnie gazową - mruknął MacDonald wpatrując się w ciemność. Smith wyjął ze skózanego futerału lornetę.

W obiektywie pojawił się dymiący płomień i skrawek oświetlonej nim czerwonawej ściany.

- Pochodnia. Ale nie gazowa. To raczej wygląda jak malos, który oświetla wejście do domu.

- Czy pan oszalał, Bobby? Skąd mógł się tu wziąć dom?

- Co więcej, to jest willa. I to z portykiem, kolumnami doryckimi i altaną. - Im dłużej Smith się wpatrywał, tym wyraźniej w jego lornetę pojawiały się szczegóły: liście akantu na rzeźbionych kapitelach, balaski, wazy, marmurowe popiersia na balustradzie wachlarzowato ułożonych schodów.

- Dałbym głowę, że to rzymska willa. Chyba, że zapomniałem wszystkiego, czego nauczyli mnie w szkole.

- Oszalał pan - powtórzył zmienionym głosem MacDonald.

- Nie wiem, jak pan, Charlie, ale ja czuję się nieswojo. - Smith zeskoczył ze zmęczonego konia i podał MacDonaldowi lornetkę. - Proszę popatrzeć.

Chociaż na piersi Australijczyka wisiał futerał z nie mniej silnym "zeissem", MacDonald posłusznie wyciągnął rękę i omiół przelotnym spojrzeniem ledwo widoczne w ciemności podesty schodów, lekki zarys perystylu, fontann i posągów, bielejących żalobnie w nieprzeniknionym mroku.

- Bardzo mi to przypomina wille Hadriana, do której zaszedłem kiedyś błądząc po Forum Romanum... Nawet kwitnące geranie w glinianych doniczkach.

- No cóż, pan wie lepiej. Ja w Rzymie nie byłem.

- A najśmieszniejsze jest to - wydusił z trudem MacDonald - że przed paroma minutami o niej pomyślałem... Nie, nie o willi, ale, jak to powiedzieć, o znikomości naszej egzystencji... I przypomniałem sobie nagle lekko wypukłą, wybrukowaną drogę, łuk, nie pamiętam już czyj, Tytusa czy Konstantyna.

- Istotnie, dość dziwny zbieg okoliczności...

- Więcej...Trudno mi się wypowiadać na temat całej willi, ale ruiny i gaj oliwny, z którego patrzyłem w dół, a fragmenty ocalałej kolumnady, widziałem dokładnie. Później jakby mi się zachciało spać, pomyślałem o naszych przejściach w podróży, trochę się nad sobą porozczulałem i zupełnie zapomniałem o starożytnościach rzymskich. I gdyby nie to diabelskie opętanie, nie przypomniałbym sobie...

- Diabelskie, myśli pan? - spytał smutnym głosem Smith. - Przekonamy się na miejscu.

- Czy mogą tu być domy? - Smith obrócił się i zawołał do przewodnika. - Jak pan sądzi, mister Temba?

- Domy mogą być wszędzie tam, gdzie żyją ludzie - odparł z niezmaconym spokojem Szerpa. Gdy dostrzegł, że sahib i jego podejrzany przyjaciel zsiadli z koni, odjechał na bok i zapalił długą tybetańską fajkę ze srebrnym uchem

- Zupełnie słusznie - ironicznie burknął MacDonald.

- Ale czy tu mieszkają ludzie? - pytał w dalszym ciągu Smith, jakby próbując zyskać na czasie. - Nie wiem, sahib. Jeszcze tu nigdy nie byłem.

- Ale przecież tam, przed nami, jest dom.

- Widzę, sir.

- I nie wydaje się to panu dziwne?

- Dom jak dom. Widać żyją w nim bogaci ludzie.

- Myślałby kto, że nasz cicerone spędza dni i noce w gościnie u rzymskich cesarów - mruknął Mac Donald.

- Wie pan co, wcale nie mam ochoty na żary - ostro odezwał się Smith.

- Ja też, Bobby, ale z humorem zawsze jakoś raźniej... No i co, jedziemy, czy czekamy do rana? Aż się rozwidni?

- Jedziemy - burknął Smith, wstydząc się swego chwilowego niezdecydowania. - Ale mimo wszystko czegoś się boje - przyznał po chwili. - Jakoś nieswojo się czuje...

- Ale chyba nie gorzej niż w Wietnamie? - MacDonald dopędził go i pojechał obok stępa. - Albo tam, w tym lodowym chaosie, kiedy polipropylenowe liny rwały się jak niteczki?

- Niech mi pan wierzy, Charlie, to zupełnie inny rodzaj strachu.

- Rozumiem, że inny. Ale życie to samo? Pana i moje. Skoro więc stawka się nie zmienia, to można kontynuować grę. Czyż nie mam racji?

- Ma pan, bo dręczy mnie nie tylko strach, ale i ciekawość. - Bał Rzymska willa w sercu Himalajów!.. Nonsens

- Wygłasza pan zbyt kategoryczne opinie, Charlie. Różne rzeczy się zdarzają. Świat antyczny stykał się z hinduskim buddyzmem nie tak daleko stąd. Różne Kuszany, Baktrie, Sogdiany... Istnieje również legenda, że jedną z himalajskich dolin do tej pory zamieszkują potomkowie żołnierzy Aleksandra Macedońskiego.

- Niech pan da spokój tym uczonym bzdurcom, Bobby! - MacDonald popędził nieco konia. -Jeżeli nie zawodzi mnie intuicja - rzucił przez ramię - to oczekuje nas wcale nie Macedończyk.

- Wkrótce się przekonamy! - zawołał Smith doganiając go.

Resztę drogi odbyli w milczeniu i wkrótce podjechali do piętrowego domu. Był to dziwny budynek, raczej częściowo nie wykończony, niż zburzony. Przypominał on bardziej dekoracje w

Hollywood, choć nigdzie nie było widać ani ukrytych rusztowań, ani rozmaitych wiazarów czy zwykłych podpór. Mima; wszystko jednak trudno było oprzeć się wrażeniu, że widać tylko fasadę, za którą po prostu nie ma żadnych pomieszczeń mieszkalnych.

- Trzeba być absolutnym kretynem, żeby kręcić tu film - warknął Smith przywiązując konia do balustrady. Była rzeczywiście z marmuru, pokryta żyłkowaniami i pęknięciami.

Problem tylko w szmalu - MacDonald zrobił charakterystyczny gest palcami, jakby odliczał niewidzialne pieniądze. Wejdziemy?

Zaczęli powoli wchodzić po schodach, nieufnie badając każdy stopień. Pochodnia w brązowym uchwycie, wmurowanym po prawej stronie otwartych na oścież drzwi, rzuciła drżący, wielokrotnie załamany klin światła.

- Proszę tu na nas zaczekać, Temba! - zawołał Smith zanim przekroczył wysoki próg. !

- Prosz spojrzeć - "salve"! - MacDonald wskazał łaciński napis przy wejściu. Tak jak mówiłem, rzymska.

Weszli i natychmiast znaleźli się w atrium, oświetlonym martwym światłem księżyca, przesączonego przez mgiełkę obłoków tuż nad otwartym prostokątem.

Wrażenie, jakie odnieśli oglądając wille z zewnątrz, okazało się fałszywe. Willa była dość obszerna. Puste pomieszczenia były chłodne i zapuszczone. Wszędzie leżały rozbite dachówki, kawałki cegieł, skamieniałe bryłki jakiegoś podobnego do cementu spoiwa. I znów trudno było stwierdzić, czy to stary śmietnik, powstały w czasie budowy, czy ślady zniszczeń.

W którymś pokoju; najprawdopodobniej trinklinum, MacDonald przypomniał sobie o latarce i oświetlił sufit.

- A niech to diabli! - zaklął przez zaciśnięte zęby, gdy jego wzrok natrafił na niewiarygodnie śmiały w swym erotyzmie fryz. Farby, które zalśniły w promieniu lampy były zadziwiająco jaskrawe i świeże. - Czy przypadkiem nie jest pan purytaninem? - spytał go uprzejmie Smith, patrząc z ciekawością na fantazyjnie frywolne sceny.

- Raczej przeciwnie... Ale niech mnie licho, przecież dokładnie takie obrazki widziałem w Pompei, w domu do którego wpuszczają tylko mężczyzn.

- No i co z tego? To, że tak powiem, wieczne tematy - Smith roześmiał się wesoło. - Tu, w Himalajach, wszędzie można zobaczyć coś w tym stylu. Czy nie widział pan tantrycznych figur? Zupełnie, jakby mi kamień spadł z serca.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odparł przeciągle Smith. - Ale po tym, wydaje mi się...

- Niech się panu nie wydaje - przerwał mu niegrzecznie MacDonald. - Był pan w Pompei? - Nie. Ale pan, zdaje się wszędzie bywał.

- To jest - MacDonald nie zwrócił uwagi na przytyk - idealna kopia - jeden do jednego.

- To jeszcze o niczym nie świadczy, Charlie. Jeżeli weźmiemy na przykład kino, to pomyśl...

- Do diabła z kinem! Po prostu łażąc po tych śmieciach przypomniałem sobie, jak byłem w martwym mieście.

- Lepiej, żeby pan nigdzie nie bywał! - posmutniał nagle Smith. - Ale tak czy owak są tu zupełnie przyzwoite pokoje i mamy szanse przenocować po ludzku. Przyznam się, że już mi obrzydł namiot, do którego muszę włączyć na czworakach.

- Niech będzie... Proszę zawołać "Tygrysa", mnie i tak by nie posłuchał.

- Chwileczkę! Tylko obejrzę górne piętro. Woli pan iść ze mną, czy posiedzi pan tu chwile po ciemku?

- Niech pan idzie - westchnął MacDonald i oddał latarkę.

Amerykanin szybko odnalazł wewnętrzne schody i przyświecając sobie, przeszedł przez pustą amfiladę, zaglądając w najmniejsze zakamarki. Po nagich ścianach przemykały cienie, pod nogami trzeszczał piasek.

Nagle rozświetliły się drzwi prowadzące na płaski dach, albo może do krytej galerii. Oddzielał je niski korytarzyk - przechodząc Smith musiał się schylić - i za zakrętem okazało się, że jest tam przestronna sala.

Na samym jej środku stał olbrzymi, wyciosany z jednego bloku stół, zastawiony figurkami z brązu. Smith zacisnął powieki i do krwi zagryzł wargę, jakby starając się odpędzić omam. Od razu rozpoznał idamów, których widział w pieczarze. Serce przeszył bolesny skurcz, jego rytm spał się płytki i przyspieszony. Poczł, że brak mu tchu, na czoło wystąpił lepki, zimny pot. Odnioł wrażenie, że zaraz zwali się na po podłogę, próbował oprzeć się o jakby odsuwającą się ściana, gdy nagle - wszystko mino, jak pod wpływem jakiegoś cudownego lekarstwa. Rytm oddechu i pracy serca wyrównał się, wrócił do normy, ustąpiły mdłości.

Ale nie tylko to! Zniknęły również krwawiące pęcherze. Zrobił na próbę kilka energicznych gestów i przekonał się, że cudowna kuracja nie ograniczyła się tylko do pęcherzy. Ustąpiło również łamanie w stawach i ból mięśni.

Smith uspokoił się nieco i znowu skierował światło latarki na stół wypożyczony z rzymskich łaźni albo z prosektorium.

Zresztą, myśl o stole przemknęła zaledwie gdzieś na krańcach świadomości. Cała uwaga, spowodowana dodatkowo tą niezwykle sytuacją, skoncentrowała się na figurkach.

W tym tajemniczym domu nie tylko powtórzony został ten sam zestaw demonów z brązu. Smith mógłby przysiąc że ma przed sobą dokładnie te same statuetki, które z takim żalem pozostawił w gaju Bogini Matki! Tak idealny zbieg okoliczności jest niemożliwy, niewiarygodny. Nie ma dwóch identycznych odlewów. Kalaczka - "Koło Czasu", Mahakala - "Wszecpożerający czas", i Sangduj, i magiczny Hajagriwa - wszystkie jakąś nieznaną siłą przeniesione zostały z lasu za przełęczą w ten dom duchów.

"A jeżeli to odbicie naszych pragnień?" - pomyślał.

MacDonald przypomniał sobie o rzymskich wykopaliskach i odkopanej z popiołów Pompei mimochodem, ale on, Robert Warren Smith, myślał o tych bezcennych brązach prawie bez przerwy.

I proszę bardzo, bierz - są twoje.

Oczywiście, weźmie wszystkie figurki, co do sztuki. Obojętne, jaką cena trzeba będzie potem zapłacić, weźmie, nie przepuści okazji, choć wszystko to wygląda na piekielne sztuczki.

Zresztą, po Wietnamie Smith nie wierzył już ani w niebo, ani w piekło.

Dotknął zimnego metalu i przebiegł go chłód. Wzdrygnął się. Przekładając do drugiej ręki latarkę zobaczył wsuniętą w kąt żeliwną grzałkę. Dokładną kopię tej, która kiedyś, w niepamiętnych czasach, ogrzewała hotelowy pokój w którym spędzał swą noc poślubną z Lien.

Smith usiadł na podłodze i zamyślił się. Mocno zatkał palcami uszy, w których jak kryształowe dzwoneczki dźwięczał cudowny, niezapomniany głos.

Signore Tommaso w przeciwieństwie do pierwszej grupy rozbił obóz na łączce koło gejzeru. Czarny tybetański namiot z plecioną linią życia nad wejściem rozbito w zaroślach, gdzie usypiająco brzęczały niespotykane, błękitne trzmiele. Profesor słusznie uznał, że kąpiele jodobromowe dobrze wpłyną na jego podagrę i wylegiwał się w gorącej kałuży z rozrzewnieniem przyglądając się przezuwającym młody piołun jakom. Przed długim marszem również zwierzęta powinny wypocząć. Jednym słowem w obozie panowała idylliczna atmosfera. Joy, która podjęła się spełniać rolę czarującej pastuszki, na wszelki wypadek opalała się z dala od parsających potworów, zdjawszy z siebie i tak zupełnie symboliczne bikini.

Tylko Norbu-rin-po-cz'e siedząc na skórze lamparta zajmował się w ten cudowny poranek słodkiego - jak mówią Włosi - nieróbstwa swą zwykłą pracą - medytacjami.

Po długich ablucjach i całkowitym oczyszczeniu dokonanym za pośrednictwem długiego bandaża, przeciągniętego przez cały przewód pokarmowy, jogin wykonał kilka asan o najwyższym stopniu trudności i zastygł w całkowitym bezruchu. Jego duch wzniósł się nad czasem i przestrzenią i porzuciwszy powłokę cielesną uleciał w kosmiczną nieskończoność.

Jednakże gdy jogin koncentrował się, by przejść do wyższych stopni samadhi które odsłaniają istotę pustki i niebytu, poczuł niepojęte przeciwdziałanie. W jego wizje wdarta się obce, ciemna moc, niszcząc połyskującą, wzniesioną w absolutnej pustce konstrukcję.

Wędrowny mnich, zmartwiony tą przeszkodą podniósł głowę i spoglądając na otaczający go świat niższych iluzji dostrzegł gońca z raną w piersi. Niewątpliwie widział przed sobą tego samego biegacza, który zdążył wręczyć poplamiony krwią list tripona z radą, by do czasu nadejścia żołnierzy zatrzymać obu białych przybyszów, nie czyniąc przy tym żadnych przeszkód królewskim gościom

Rkang-mgjogs wolno, lecz systematycznie zbliżał się do obozu. Nie szedł, ale jakby płynął nad srebrzystą, kołysaną przez wiatr trawą. Można było odnieść wrażenie, że na miejsce pobytu ludzi naprowadza go jakaś nieznaną siłą, tak jak ciepło wydzielane przez pracujące silniki samolotu naprowadza nań raketę.

Świątobliwy Norbu oczywiście nic prawie nie wiedział o samolotach i raketach, ale za to doskonale orientował się w innych sprawach. Od razu zrozumiał, że jest świadkiem rollangu - wskrzeszenia trwa - natychmiast podjąć odpowiednie kroki, by gość z za grobu nie spowodował jakichś nieszczęść.

Bystry wzrok jogina dostrzegł zarówno ślepe, szkliste oczy trupa, jak i przerażenie białej lady która dosłownie zamarła beznadziejnie próbując osłonić się żalonym skrawkiem czerwonego jedwabiu.

Wprawdzie opatrność udowodniła Tommaso Valenti przed tym mrozącym krew w żyłach widokiem, ale to właśnie on miał się stać pierwszą ofiarą straszliwego przybysza, który nieubłaganie zbliżał się do czarnego banaku. Muskularne, idealnie rozwinięte ciało jogina błyskawicznie rozprostowało się i jak zwolniona sprężyna wbiło nad ziemię.

Norbu zrobił dwa skoki i znalazł się pomiędzy namiotem a nawiedzonym. Obiegł go w koło, dmuchnął w martwą twarz i krzyknął przy tym:

- Hri!

Nieboszczyk drgnął, po jego ciele przebiegły drobniutkie fale, jak po odbiciu na wodzie, i rozdzieliwszy się na pasemka, zniknął bez śladu.

Norbu skamieniał.

"Jeżeli to rollang - myślał - to gdzie podział się trup? A jeżeli było to widzenie karmiczne, to dlaczego rozpadło się pod wpływem najprostszego zaklęcia?"

Któż mógł odpowiedzieć mu na to pytanie?

Profesor Valenti nawet nie podejrzewał, jak bezprzykładowy pojedynek między światłem a ciemnością się w odległości dwóch kroków od jego wezłowia

Robił właśnie notatki z "Wisnu-purany", które miały bezpośredni związek z celem jego podróży, kiedy przeraźliwy ksyżk Joy omal nie zrzucił go z polowego łóżka.

Wreszcie jakimś cudem uspokoił rozszlochaną kobietę i zmusił ją do wypicia dobrego łyku brandy. - Za długo siedziałaś na słońcu, kochanie - wyjaśnił z całkowitym przekonaniem Valenti, kiedy wreszcie Joy była w stanie cokolwiek pojmować. - No i przywidziały ci się jakieś koszmary.

- Wcale mi się nie przywidziało! - upierała się przy swoim. - Możesz go spytać - drżącą ręką wskazała odważnego obrońcę.

Norbu siedział w pozycji lotosu i leniwie przesuwiał koralowe paciorki różańca.

- Widzenie karmiczne - skomentował po tybetańsku jogin, trzymając się chwilowo najbardziej prawdopodobnej wersji.

- No widzisz - ucieszył się Valenti. - Po prostu zwykle widzenie karmiczne! No i co ci mówiłem? Przegrzałaś sobie główkę i przywidziało ci się... Mówisz, że rozplynał się w powietrzu? To znaczy, że w ogóle go nie było.

- Ale przecież on także widział! - wciąż jeszcze szczekając zębami zaciekłe broniła się Joy. - Jemu także się wydawało?

- Zbiorowa halucynacja - lekceważąco odparł Valenti. - Na Wschodzie to się zdarza. Czytałem o tym. A pan dokąd? - spytał po tybetańsku, widząc, że Norbu wstał i przerzucił przez ramię skórę lamparta

- Na mnie czas.

- Ale przecież uzgodniliśmy, że trzeba zrobić mały odpoczynek!

- Wzywa mnie droga. Wołają święta miejsca.

- Prawdę powiedziawszy, świątobliwy ojciec, zaskoczył nas pan - Valenti nerwowo zacierał ręce.

- A może poczeka pan choćby do jutra? No, bo wie pan, tak niespodziewanie...

- Wy macie swoją drogę, a ja swoją.

- I jest pan gotów rzucić nas ot tak, w szczerym polu?... No cóż, Proszę wybrać któregoś z jaków, a worki z rampą...

- Dojdę bez tego - pokręcił głową jogin. - Teraz, czuje, nie będą mi potrzebne ani jaki, ani żywność.

Podniósł trójzęb i nie żegnając się ruszył na południowy wschód.

Państwo Valenti wrócili do namiotu. Na łóżku polowym, na którym profesor pozostawił swoje notatki, leżał płócienny zwitek. Valenti rozwinął go w roztargnieniu i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Leżał przed nim podzielony na cztery różnobarwne sektory krąg jednoczący widzialne żywioły.

Była to słynna tajna mandala, najprawdopodobniej pozostawiona na pożegnanie przez świątobliwego Norbu. Valenti szukał jej wszędzie, ale nie mógł natrafić nawet na ślad bezcennego zwitka.

I teraz ma go tu, u siebie! Ale ta radość zatruwało z wątpienie, które jak zimne źródło przenikało przez nieznanne warstwy.

Zdawało mu się, że w centrum mandali widać, jakby nałożony na jej rysunek, jeszcze jeden nie namalowany krąg składający się z koguta, świni i żmii.

Pożądanie? - spytał sam siebie profesor. - Pożądanie i żądza poznania?"

Odpowiedzi nie było.

Willa stale przekształcała się. W nieuchwytny dla oka sposób zmieniała swe zewnętrzne zarysy i wyposażenie. Otaczała swych gości niezwykle wygodami, sprowadzała na nich dziwne sny.

Teraz wokół niej rozciągał się stary, zapuszczony park z grotami i polanami, w którym unikalne węże eskulapa wiły się leniwie w zaroślach bielunia.

I jak pajęczyna oplątuje suche pędy ostu, podobnie dusze ludzi spowijał delikatny, narkotyczny woal. Bardzo szybko przytępiła się ciekawość i zniknęła chęć badania wciąż na nowo zaczarowanej oazy, w której odgadywano podświadome pragnienia, chwilami najbardziej nieoczekiwane.

W oplecionych pędami winorośli altankach talie kart i szachownice z nefrytowymi figurkami czekały na graczy. Ale nikt nie rozgrywał żadnych partii. Porozdzielani, zatopieni w sobie podróżnicy samotnie układali skomplikowane pasjansy albo rozgrywali zagmatwane kombinacje szachowe, nie potrzebując kontaktu z innymi, nie pragnąc dzielić się swymi najskrytszymi myślami.

Lśniące amarantowymi tynkami willa jakby rozdzieliła się na odizolowane komórki, w których zapomnieli o przeszłości, zagubili swój cel. Nieznany kuchmistrz przygotowywał i podawał wyszukane potrawy, które mogły sprawić rozkosz najbardziej wymagającemu podniebieniu. Równie niewidzialna, ale sprawna służba troszczyła się o wygody i czystość. zamiast dawnymi, nadtłuczonymi doniczkami z geranium schody ozdobiono kryształowymi misami z nitowymi lotosami i złotymi rybkami, zaś wszystkie ślady upadku i zaniedbania zostały jakby starte niewidzialną ręką.

Pewnego razu Smith i MacDonald odnaleźli w trinklinum amfory pokryte skamieniałymi muszlami, ale nie dowiedzieli się, co w nich było - nie chciało im się ich otworzyć.

"Santorińskie? - pomyślał Smith. - A może falern?"

"Na pewno oliwa z oliwek" - uznał MacDonald.

I zapomnieli o zapieczętowanych amforach, które zniknęły następnego ranka. Niezbyt wymagający Ang Temba natomiast, chwytając wargami bijący z fontanny strumyczek zawsze napotykał ten sam napój - zimny cz'ang. Wcale go to nie dziwiło - cóż, takie były obyczaje tutejszych, przychylnych ludziom duchów. Istnienia innych, znacznie bardziej wyszukanych darów nawet nie podejrzewał i dlatego spał zawsze głębokim, spokojnym snem. Nie słyszał, jak nocami dźwięczą struny santuri i dudni bębenek w pokoju Abbasa, jak do świtu nie milkną w nim kobiece popiskiwanie, śmiech i niezrozumiały ruch.

Smitha prześladowały głosy. Wołały go zza drzew, przyzywały, prowadziły po zagmatwanych, zakurzonych ścieżkach. Kolczaste pędy jeżyn pokrywały krwawymi liniami jego twarz i ręce. Pachniał wiciokrzew, wisiały w powietrzu otepiałe muchy i znajomy zew wiódł go za sobą coraz dalej, tam, gdzie za przerdzewiałym drutem kolczastym widniały zupełnie inne krajobrazy - ryżowe pola, zarośnięte trzcinami koryta rzek, brzeg morza z palmami i chatynkami z plecionych mat.

Tego ranka obudził się późno i pospiesznie zjadł śniadanie, nie zastanawiając się nad tym skąd wzięło się jedzenie - miska racuszków po sajgońsku, galaretowate mięso żółwia i ostry rybny sos niuk-nam z cieniutkimi krążkami czerwonego pieprzu. Ugasił pożar w gardle filiżanką złocistej herbaty z budzącymi wspomnienia płatkami lotosu, nałożył flanelową piżamę - skąd się tu wzięła? - i wyszedł na spotkanie wezwaniu. Słońce boleśnie uderzyło go w oczy przez nabrzmiałe mlecznym sokiem gałązki rampy. Przez noc opadły z nich wszystkie liście i teraz pędy wiły się jak jelenie rogi, tworząc przysłaniający opadające w dół stopnie, dziwaczny wzór.

Smith zszedł do ogrodu i ruszył prosto przed siebie, przez zarośla jeżyn i wiciokrzewu. Chciał jak najprędzej znaleźć się przy zamykających dalszą drogę zasiekach.

MacDonald otrzymał na śniadanie gorącą bouillabaisse i wspiane ostendzkie ostrygi z cytryną i lobem. W srebrnym wiaderku z lwimi pyskami zieleniała zmrożona butelka "Dom Perignon z 1929", błogosławionego dla Szampanii roku.

I natychmiast zaczęły się te same zabawy, co zwykle.

Ledwie MacDonald upił nieco z kieliszka, smak wina zmienił się w nieuchwytny sposób. Nie był to już wytrawny szampan, ale raczej whisky, rozcieńczona tak że szczególnie wyraźnie dał się w niej wyczuć lekko przydymiony smak wrzosowego torfu. Czyżby pragnąc w głębi duszy jednego, mimo wszystko chciał czegoś innego?

"A czemu nie, do diabła? Dusza i ciało nie zawsze uzgadniają swe zamiary. Organizm wie lepiej, co mu jest potrzebne i jeżeli wybrał whisky to wie, co robi... Czy nie mogłoby to być nieco mocniejsze?" Procent alkoholu natychmiast podskoczył. Odcień płynu w ciężkiej, o masywnym dnie szklance, w którą przekształcił się kieliszek, stał się wyraźnie ciemniejszy.

"Wspaniale! - MacDonald pochwalił niewidzialne siły - Hankie Bannister" - określił gatunek whisky. - Choć lepszy byłby , Johnnie Walker" z czarną etykietką".

Wcale się nie zdziwił, gdy na dnie znalazł złoty suweren z podobizną George'a III, taki sam, jaki widniał na butelce "Hankie Bannistera". Gdy wziął monetę do ręki okazało się, że jest podejrzenie lekka. Była ona wykonana z jakiegoś plastyku i miała tylko awers - rewers był zupełnie gładki. Okazało się, że usłużny duch, a tym samym i MacDonald nie wiedzieli, jak wygląda prawdziwy suweren. Jaskrawa naklejka na butelce, na której widniał gentleman w rurkowej peruce nie była najlepszym wzorem do naśladowania. Zadanie stawało się trudne i zarazem pasjonujące. O ile bowiem wiadomości o arcydziełach kuchni śródziemnomorskiej zakodowane były w samym jestestwie MacDonalda, który długo działał w tamtym rejonie, o tyle o złocie wiedziała, po wiedzmy, tylko głowa.

Język nauki był jednak bardziej zrozumiały dla nieznanymi sił i moneta uzyskała niezbędną wagę i dźwięk. Ale rewersu nie było w dalszym ciągu. Cóż robić - MacDonald nigdy nie miał w ręku prawdziwej gwinei. Nie był również w stanie wyobrazić sobie, jak wyglądają luidory, dublony, piastry i inne postacie złotego cielca, których numizmatyczna cena niekiedy zdecydowanie przewyższała wartość przeklętego metalu.

Ale jeżeli nie można wzbogacić się na numizmatyce, to może da się zarobić na materiale? Ledwo w jego umyśle powstała ta zdrowa skądinąd myśl, na podłogę, dzwoniąc, posypały się złote krążki. Wkrótce było ich tak wiele, że musiał wyteńczyć całą siłę woli, by powstrzymać złoty deszcz. O wyniesieniu stąd takiego ciężaru nie mógł nawet marzyć. Alchemiczne, idealnie czyste złoto należało natychmiast zniszczyć. Kierując się zimnym pragmatyzmem, MacDonald zdecydował się uprościć cały proces i wyjąwszy z portfela studolarowy banknot, zaczął drukować wprost z powietrza kolejne kopie, zmieniając dowolnie oznaczenia serii i numery.

Przez pół godziny zarobił około dwóch milionów, co udało mu się ustalić z dużym przybliżeniem po trwającym ponad pół godziny podliczaniu.

Następny cykl eksperymentu dotyczył diamentów. Australijczyk z wysiłkiem, który omal nie przyplącił wylewem krwi do mózgu, ostatecznie zniszczył gwineje i banknoty. Ciężar i nader osobliwy skład chemiczny złota mogły stać się przyczyną kłopotów, a numery na banknotach na kilometr śmierdziały kryminałem. Nie; nic na świecie nie mogło równać się z drogimi kamieniami. Były czyste, niewinne i dosłownie niczym nie splamione.

W ciągu kilku godzin MacDonald stał się multimilionerem, bijąc wszelkie najbardziej zwariowane rekordy, zarejestrowane w księdze Guinnessa. Trzeba się było tylko przekonać, że to nie halucynacja i dobrze się zastanowić, w jaki sposób wyplątać się z innej, niestety nie tak pięknej gry...

Ale na radość było jeszcze za wcześnie. Skarby, podobnie jak złoto czarownic, mogły zmienić się w popiół, zaś śmierć wciąż stała za plecami. MacDonald otrząsnął się, spojrzął na zegarek i ogarnęło go przerażenie. Od ich zejścia w dolinę minęło już jedenaście dni! Co robił przez cały czas? Mózg zasnuwała tęczowa mgła.

No cóż, tym bardziej czas już brać się do roboty.

MacDonald włączył radiostację, wysłał zakodowany sygnał i podłączył się do satelity komunikacyjnego. Indykatory wskazywały, że połączenie jest stabilne ale epicentrum ubocznego źródła sygnałów znajdowało się gdzieś zupełnie blisko i całkowicie zagłuszało korespondencje.

Zaczarowana dolina zamykała wokół siebie przestrzeń jak neutronowa kurtyna. Przez szумы przebijał wyraźnie tylko jeden melodyjnie popiskujący sygnał. Wysyłająca go radiostacja znajdowała się gdzieś w pobliżu i w związku z tym także była niesłyszalna z zewnątrz. "Informacyjne wiezienie" - uśmiechnął się MacDonald i zrobił znaczek na mapie.

"Trzeba iść dalej - pomyślał, składając antenę pelengacyjną. - I jak najprędzej kończyć te nazbyt już przeciągającą się partię. Rozwiązać wszystkie węzłki, nagłą wymianę figur doprowadzić do pata... Gdzie jest Smith? Gdzie Abbas?"

W pokoju Smitha, skąpo poprzecinanym padającymi przez żaluzje promieniami słońca, panował duszny półmrok. Wyroby z brązu, porządnie zapakowane w pianoplast leżały w jeszcze otwartych, obitych blachą, drewnianych skrzyniach. Widok tych złożonych w kącie archaicznych opakowań podziałał na MacDonalda uspokajająco. Dary Mnemozyny uzyskały jakby dodatkową realność. Na swoje skarby MacDonald natychmiast wybrał duraluminiowe kontenery z zamkami i uchwytami, przez które można było Przewlec przypinane do nadgarstków łańcuszki.

Aby dostać się do pomieszczenia zajmowanego przez Abbasa, musiał wyjść na wewnętrzną galerię i obejść atrium. Przenikliwe dźwięki wschodniej muzyki dobrze wskazywały kierunek. MacDonald delikatnie otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Dwie skąpo okryte muślinowymi woalami dziewczyny melancholijnie krążyły z uniesionymi rękoma przy akompaniamencie niewidzialnej orkiestry. Ich obficie namaszczone wdzięki połyskiwały w ukośnie padającym promieniu światła. W jednej z tancerek MacDonald rozpoznał Rosite Liares, która w ubiegłym roku zdobyła tytuł "Miss Universum", drugą zaś była nieznana Etiopka bądź Nubijka o niespotykane krągłych kształtach. Sam Abbas leżał na wspinałym perskim dywanie i leniwie ssał nargile.

Abbas był najbardziej konsekwentny. Stworzył sobie coś na kształt mahometańskiego rajy i niezmiennie trwał przy tym co uzyskał. Zasnute wilgotną mgiełką źrenice Pakistańczyka zapatrzone były w pustkę. MacDonald ostrożnie zamknął drzwi.

Smitha zastał, jak zwykle, na pustkowiu. Zapaskudzonego urwiska i zasieków nie było. Za przerdzewiałymi prętami ogrodzenia rozciągała się aż po zapyłony horyzont, żwirowata pustynia. Przez delikatną mgiełkę połyskiwały liliowym aksamitem odległe szczyty.

Najwidoczniej Amerykanin sam zniszczył chorobliwy wytwór swej pamięci.

- Co się stało? - spytał MacDonald, machinalnie zeszkrobując rdzawy nalot z prętów.

- Jakby to panu powiedzieć? - Smith skrzywił się i poprawił okulary. - Znalazłem plastik i detonator...

- Znalazł pan? - spytał znacząco MacDonald.

- No, zobaczyłem je rano przy śniadaniu. Leżały na stole - uściślił Smith. - I zdecydował się pan zrobić przejście w zasiekach?

- Owszem...

- A czy t a k - z naciskiem powiedział Australijczyk - czy tak nie ustępowało?

- Nie wiem. Nie próbowałem.

- Dlaczego?

- Nie próbowałem i już - ze złością odparł Smith. - To plastik nasunął mi ten pomysł. Podłączyłem do detonatora lont...

- Nie wspominał pan o lonce.

- Doprawdy? Ale również miałem go ze sobą... - Smith zamrugał, zaskoczony.

- No dobrze, załóżmy - burknął MacDonald.

- Zrobiłem wszystko jak trzeba i nawet zacisnąłem detonator kombinerkami...

- Skąd u diabła kombinerki...

- Nie wiem. - I znów dygotanie rudych rzęs zdradziło zakłopotanie. Smith jeszcze niezupełnie doszedł do siebie i nie zdaje sobie sprawy skąd i dlaczego pojawiają się przedmioty.

- Niech pan mówi dalej - machnął ręką MacDonald.

- Jednym słowem, działałem zgodnie z zasadami ale choć lont zaczął dymić, wybuch nie nastąpił... Gdy ogień zgodnie z moimi obliczeniami powinien był dojść do detonatora, zasieki zniknęły, wyparowały tak, jakby ich wcale nie było.

- Bo ich nie było... do pana przyjscia.

- Tak, rozumiem... Razem z nimi rozplęnęła się również spowita mgłą przepaść.

- Krótko mówiąc, stało się to, czego pan sobie życzył?! - zawołał MacDonald tonem raczej twierdzącym niż pytającym.

- Chyba tak - niezbyt pewnie odpowiedział Amerykanin. - Nie pamiętam...

- A wyroby z brązu w pana pokoju? Sam pan je pakował?

- Chyba tak... .

- Własnoręcznie zrobił pan skrzynki? Obił je pan metalowymi taśmami? Ma pan młotek? Gwoździe?

- Sądzę, że mam - Smith przypominał sobie z wysiłkiem. - Były w jednym z juków...

- Były, były! - przedrzeźniał go poirytowany MacDonald. - Nie znam pańskiego bagażu, czy co? A nawiasem mówiąc, skrzynki zrobiono nie używając ani jednego gwoździa. Sprawdziłem.

- Jak to?

- A bo ja wiem? Może sklejone...

- Trzeba to dobrze zbadać Charlie - Smith potrząsnął głową jakby budząc się ze snu. - Bardzo bym chciał zachować swoje brązy.

- Ja również - wymknęło się MacDonaldowi.

- Jak to, u pana też pojawiły się wyroby z brązu?

- Coś w tym rodzaju. - Australijczyk zrobił nieokreślony gest.

- I, doprawdy, nie mniej od pana jestem zainteresowany zachowaniem, czy raczej stabilnością... ładunku.

- Te przedmioty są realne, Charlie - ze zrozumieniem skinął głową Smith. W każdym razie składają się z atomów - jak my, jak otaczająca nas przyroda... Mam przenośny spektrometr. Sprawdziłem.

- Brzmi pociesząco, jeżeli to wszystko nie przyśniło się panu: statuetki, sprawdzanie, spektrometr.

- A czy pańskie życie nie przyśniło się panu, Charlie? Może tylko śnimy o sobie samych? - No, coś takiego w ogóle nie poddaje się sprawdzeniu.

- Banalne.

- Żywe ludzkie w ogóle jest dość banalne i bezsensowne, nie uważa pan? A między nami mówiąc, z bezsensem równie trudno jest się pogodzić, jak i z własną zagładą. Mimo woli człowiek zadaje sobie pytanie: Po co?

- I ma pan na to stosowną odpowiedź?

- Parę dni temu z całkowitym przekonaniem odpowiedziałbym "nie", ale teraz, Charlie - nie wiem...

- A więc, przewidział się panu raj. Jak temu głupkowi Abbasowi, który urządził sobie taki, wie pan, przytulny seraj. Ale czegoż można wymagać od Abbasa? Bałwan; ciemny półanalfabeta, lecz pan, pan, Bobby, mam nadzieję rozumie, że te dziwki potrafią tylko jęczeć namiętnie i pokrzykiwać w odpowiednim momencie? I nic więcej.

- Jakie dziwki? - Smith wytrzeszczył oczy.

- Takie - warknął MacDonald. - Złocista, brązowa, niech je diabli wezmą... Długo ma pan tu zamiar siedzieć? - spytał, gwałtownie zmieniając temat. - Czy nie czas ruszać dalej?

- Po co?

- Jak to "Po co"? - MacDonald aż się zakrztusił. - Niechże się pan wreszcie obudzi, Bobby! Straciliśmy Bóg wie ile czasu. Trzeba to nadrobić!... A może woli pan wrócić?

- Wrócić? - odparł Smith w zamyśleniu. - Nie. Chciałbym tu trochę pobyć, choćby z ciekawości.

No to niech się pan zbiera. Galopem ! - MacDonald odzyskał swą normalną formę i zaczął go popędzać. - Wydaje się, że nie powinniśmy zwlekać. "To" nas popędza i jakby obiecuje, że im dalej, tym... - urwał raptownie i szarpnął rozmówcę za rękaw. Stara flanela trzasnęła i rozpełzła się pod palcami.

- Co? - spytał Smith, lecz gdy jego spojrzenie napotkało niebieski, zakurzony "landrover" zamilkł raptownie.

Samochód stał w odległości około dwudziestu jardów, rzucając na ziemię wyraźny, geometryczny cień.

- T e g o pan chciał? - spytał cicho sposepniały nagle MacDonald.

- Nie, nie wiem... A pan?

- Ja też nie wiem, choć to raczej ja jestem winien... No cóż, chodźmy.

Podszedł do "landrovera" i zatrzymał się na chwile, mimowolnie starając się namacać klamkę. Zamek otworzył się, lecz nie od razu, jakby z pewnym opóźnieniem. W taki sam, stopniowy sposób, jak obraz wywoływanego zdjęcia, pojawiły się zegary i wskazówki na tablicy przyrządów, mosiężny klucz w stacyjce. MacDonald chciał go przekręcić, ale w tej samej chwili przez uchyloną szybę dobiegł go pełen zdziwienia okrzyk Smitha.

- Ale przecież to monolit! - Co! - nie zrozumiał MacDonald. - To, że maska jest dokładnie przyspawana do karoserii, koła zaś do błotników! - zawołał Smith, ale zaraz poprawił się. - Och, nie, zdaje się, że po prostu nie zauważyłem szczeliny... I koła też...

- Tak - westchnął zafrasowany MacDonald, domyślając się reszty. - Niech pan spróbuje otworzyć maskę. - Oparł się wygodnie, zmarszczył w skupieniu brwi i niewiarygodnym wysiłkiem woli starał się przestać myśleć o przeklętym samochodzie. - No? Co tam? Co? - zawołał ze zniecierpliwieniem, ze wszystkich sił starając się nie zwracać uwagi na blaszany zgrzyt. - Niechże pan odpowiada! - zażądał, gdy wreszcie podniesiona maska przysłoniła mu niebo.

- Nic - po chwili milczenia odparł Smith, pokonując nagłą chrypkę - Ciemna pustka... Chociaż coś tam, mam wrażenie, zaczyna się pojawiać... Filtr powietrza, cewka, akumulator, ale bez zacisków...

- Dostyc - przerwał mu zmęczonym głosem MacDonald. Kopnął drzwi i zeskoczył na żwir. - Taki samochód nigdy nie pojedzie.

- Tak - posepnie skinął głową Smith. - "To" nie ma pojęcia o technice budowy maszyn. Zrozumieli się natychmiast.

- Mamy zbyt pobieżne wiadomości o wszystkim, by wyobrazić sobie każdą śrubkę i każdą nakrętkę - uśmiechnął się MacDonald. - Trzeba będzie objuczać jaki.

- Chyba tak, Charlie... Pójdziemy na peleng?

- To najpewniejszy sposób, choć warto by było skonsultować marszrutę wspólnie z signore Valentim. Są już blisko.

- Skąd pan wie?

- Wiem.

- To nie odpowiedź, Charlie.

- Mam nadzieję, że mnie pan nie potępi, jeżeli przyznam się, że przed odjazdem podłożyłem "pluskwę"?

"Pluskwę"?

- Chyba pan wie, co to takiego?

- Mikrofon do podsłuchu?

- Po co takie namiętności? Przecież to tylko miniaturowy nadajnik nic więcej. Przyczepiłem go do siodła Joy i dlatego wiem, oczywiście w przybliżeniu, gdzie w chwili obecnej znajduje się najpiękniejszy tyłeczek w promieniu tysiąca mil.

- Kim pan jest naprawdę, Charlie? - spytał zakłopotany Smith, przecierając irchą okulary

- Czy ma to istotnie dla pana jakieś znaczenie? - MacDonald ze zniechęceniem machnął ręką. - Tu? Teraz?

Państwo Valenti natrafili na rzymską willę w momencie, gdy przygotowania do wyjazdu szły pełną parą. Profesor nie ukrywając zdziwienia patrzył na kwitnący sad, głęboko wdychał chłodny, gorzkawy zapach opadłych pięciopłatkowych kwiatów rampy - Szkoda niszczyć to piękno!

- Nie ma o czym mówić - Smith lekceważąco machnął ręką

- Trudno by mi było zaręczyć, czy owa kwitnąca oaza nie zniknie jak sen złoty gdy tylko zamkniemy za sobą furtkę - melancholijnie zauważył MacDonald zdejmując z siodła piękną Joy.

- Mam nadzieję, że znajdą się tu dla nas wolne pokoje? - Joy wzięła walizeczkę z biżuterią i kosmetykami i czarująco uśmiechnęła się do Smitha.

- Dla pani, signora, przygotowane są apartamenty prezydenckie - MacDonald przejął inicjatywę. Dziękujemy że państwo zaszczylili swym wyborem właśnie nasz hotel.

- Jak się nazywa?

- "Amarantowa willa" - Smith błysnął konceptem, nieco poirytowany tym, że zepchnięto go na drugi plan. - Kategoria pięć gwiazdek.

- Kuchnia do wyboru! - roześmiał się Australijczyk.

- Naprawdę? - Rumieniec na twarzy Joy pobladł nagle. - Czy dobrze pana rozumiem?

- Niestety, mistress Valenti - Smith ze smutkiem skinął głową.

- Kolekcje? - zainteresował się profesor i postukał paznokciem w przytroczony do juków kontener.

- Mam nadzieję - w nieco wymijający sposób odparł MacDonald.

- A więc wam również przytrafiały się rozmaite cuda? - Valenti jakby szukając dziury w obrzucił uważnym spojrzeniem antyczne kolumny, wyraźnie barokowe okna i idiotyczny łuk przyporowy do połowy zasłonięty przez kamienny komin. - Oczywiście, moi przyjaciele, coś takiego nie może istnieć. Nie znam podobnych budowli.

Posągi z karraryjskiego marmuru pokryte wiekowymi spękaniem i zatartymi przez czas rysami, nie spodobały mu się jeszcze bardziej.

- To nie Grecja - oznajmił dobitnie swym dobrze postawionym głosem zawodowego wykładowcy nie Rzym czasów upadku, no i, oczywiście, nie Kandahar, na co choć w niewielkim stopniu można było liczyć. To godna pożałowania, ślepa eklektyka, zrodzona przez bardzo chłonną, ale nieprecyzyjną pamięć. Jestem gotów zgodzić się z pańską prognozą, mister MacDonald. Złudzenie, należy przypuszczać, rozwieje się, gdy zniknie zasilające je źródło.

- Ale co to właściwie jest? - pokonując wewnętrzne opory zapytał Smith. - Czy to obiektywna rzeczywistość, czy zbiorowa hipnoza?

- Niczego nie mogę wykluczyć - z wyraźnym zadowoleniem oznajmił Valenti - choć osobiście wolałbym to drugie. Dla wewnętrznego spokoju. Niestety, właśnie dla spokoju, a nie na podstawie obiektywnej analizy, jak mógłby pan tego po mnie oczekiwać.

- Rozumiem pana - ze współczuciem westchnął Smith. - Doskonale rozumiem... Ang pomoże się panu ulokować - machnął ręką, przywołując Szerpe. - Jeżeli te wspaniałe róże będą smakować waszym jakom to nie będziemy protestować. Czyż nie tak, mister Temba?

Po wspólnej uczcie, w czasie której na stole demonstracyjnie postawiono tylko s w o j e , dokładnie sprawdzone wiktuały, w milczeniu ignorując pojawiające się dania, MacDonald zszedł z cygarem do ogrodu.

Gdy wracał do siebie, usłyszał głośnie oddechy i szamotaninę. Włączył latarkę, z którą nigdy się nie rozstawał. Oszolomiony Abbas, z wykrzywioną, pokrytą krwawymi śladami paznokci twarzą, ciągnął gdzieś opierającą się ostatnim wysiłkiem Joy. Zamarła na chwile, zahipnotyzowana światłem, przykryła łokciem szeroko rozwarty dekolt i nienaturalnie wolno zaczęła sunąć wzdłuż ściany w stronę galerii.

Z gardłowym, chrypliwym rykiem Abbas wyrwał z pochwy sztylet i jak kot sprężył się do skoku. MacDonald jednak rzucił mu się pod nogi, schwytał rękę ze sztyletem i gwałtownie szarpnął ją w bok. Trzasnęły przerywane ściegna, ale nim Pakistańczyk zdążył poczuć straszliwy ból, MacDonald zadał mu niezbyt silny, precyzyjny cios w skroń. To chyba nie było już potrzebne, ale MacDonald działał prawie instynktownie i nie był w stanie powstrzymać uderzenia.

Zarzucił sobie na ramię bezwładne ciało i rozejrzał się wkoło szukając wzrokiem Joy. - Bydle - wycodził przez zęby, opuszczając nieruchomy ciężar.

Gdy następnego dnia wybierali się w podróż przyglądał się uważnie Joy, która siodłała karego muła. W wyglądzie Włoszki nic nie przypominało wczorajszego zdarzenia.

Joy poczuła, że jest obserwowana, odwróciła się i zobaczywszy MacDonalda rozpromieniła się dyżurnym uśmiechem pięknej, pewnej siebie kobiety.

Karawana ruszyła. Jej ślad w pierwotnej, czarnej jak antracyt pustyni tworzyła chmura duszącego pyłu.

- No, jak minęła noc? - zapytał MacDonald, podjeżdżając do Tommasa Valentiego

- Lepiej nie mówić - wzdrygnąwszy się nerwowo odparł profesor. - Jedynym pożytkiem z tej całej fantasmagorii jest to; że czuje się całkiem zdrow. Wie pan, to całkiem zapomniane przeze mnie uczucie... .

- Cieszę się, profesorze.

- Słyszysz, dziecino? - zawołał tryumfalnie profesor i odwrócił się do jadącej w ślad za nim żony. Nie czuje wcale podagry!

- A więc pomogły ci te kąpiele w wodzie z gejzerów?... Jakże się cieszę, kochany!

MacDonalda znów oszołomiło opanowanie Włoszki. Niechętnie odwrócił wzrok od jej wypoczętej, wspaniale zadbanej twarzy i zobaczył jaskrawopomarańczową kropkę, wyraźnie odcinającą się od ascetycznego tła pustyni.

MacDonald spojrział przez lornetkę i z zadowoleniem rozpoznał wędrownego jogina. Zatrzymał się w odległości kilku kroków od "landrovera" i, oparty na trójzębie, uważnie przyglądał się nie zakończonemu dziełu.

I nagle "landrover" zniknął.

Mnich w dalszym ciągu stał, nieruchomy jak posąg, ale prostokątnej, rzucającej krótki cień bryły już nie było.

MacDoñald gwałtownie wyprostował się w siodle i spojrział za siebie. Na grzbiecie jaka uspokajająco pobłykiwało duraluminiowe zwierciadło kontenera.

Ćwiczenia medytacyjne z dnia na dzień wzmacniały w Norbu poczucie więzi z absolutem, nierozzerwalną łączność z siłą, która uduchawiała wszechświat.

Tu właśnie, w dolinie, w której najbardziej skomplikowane ćwiczenia mógł wykonywać z niesłychaną łatwością ostatecznie uwierzył w bliskość "drugiego brzegu", tak nazywano nirwanę w świętej "Dhammapade".

Szedł przez pustynie nie odczuwając upału ani pragnienia, nie potrzebując nawet odpoczynku. Znikome przeszkody w postaci paru dziwnych i, prawdę mówiąc, nieopisanych w odpowiednich traktatach fantomów, tylko umocniły jogina w wierze w słuszność wybranej drogi.

Norbu-rin-po-cz'e całe życie spędził w Transhimalajach i nigdy nie widział samochodu, ale oczywiście słyszał to i owo o tych "diabelskich wózkach", które zatruwają powietrze mdlącym dymem i najeżdżają na żywych ludzi.

"Landrover", za którym nie widać było ani centymetra śladu zostawionego przez koła sprawił na nim przygnębiające wrażenie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że złośliwe demony - rakszasy wciąż knuły przeciwko niemu. Postawiły na drodze bosonogiego ascety szatański pojazd i tym chcą zawrócić go ze świętej drogi. Nie, nigdy się tak nie stanie!

"Om-mahum-swa-ha!" - magiczne sylaby przebudziły kosmostwórcę i uformowały się w niepojęte dla umysłu figury.

Gdy Norbu-rin-po-cz'e rozprawił się z kolejnym podstępem rakszasów, popatrzył na ruiny, otoczone uschniętymi zaroślami i czarnymi, jakby nadwęglonymi pniami drzew. Upojony własną odwagą, jak Don Kichot, który zobaczył wiatraki, jogin poprawił zsuwającą się z ramienia skórę i ruszył do ataku. Błądząc w mrocznych korytarzach, zasypanych rozbitymi kamieniami i osypującą się sztukaterią, Norbu zauważył, że spod niedokładnie zamkniętych drzwi, które jakimś cudem ocalały wśród tych ruin, pada wąski trójkąt światła.

Drzwi otwierały się do wewnątrz. Mnich delikatnie popchnął je ramieniem i nie bez ciekawości zajrzał do środka. I to, co niespodziewanie zobaczył w kłębach sandałowego dymu, do głębi wstrząsnęło biednym pustelnikiem, który zdawało się przywykł do oglądania wszelkich fantasmagorii i dawno zapanował nad swym ciałem.

Norbu już na pierwszy rzut oka w jednej z trzech tańczących apsar rozpoznał białą lady, z którą jechał z "Tygrysięgo legowiska" do rdzongu "Wszechpochlaniające światło" i zrozumiał, że nawet rakszasy nie są władne dokonać takich czarów. Najwidoczniej sam Mara, demon śmierci i ciemnych żądz pragnął ukryć się za fałszywą kurtyną "drugiego brygu". I ten brodaty sługa zła - Norbu natychmiast odgadł prawdziwe oblicze Abbasa - został tu posłany, by swą siłą życiową karmił obrzydliwe duchy, które przyjęły cudowną, kobiecą postać.

Norbu zebrał całą swą odwagę i twardym krokiem przekroczył próg. Wszedł, pozostawiając na błękitnym worsie dywanu ślady swych zakurzonych stóp, wmieszał się w magiczny korowód i w odpowiedniej chwili dmuchnął w twarz czarnoskórej tancerce.

Niezawodne zaklęcie zniszczyło obraz utkany z cząsteczek światła. Odważny wojownik wykorzystał moment zaskoczenia. Tworząc świecąca szafirowo pomocną projekcję nirmanicznego Buddy, rozpylił drugą apsarę i ruszył za trzecią, którą świętokradczo skopiowano z dobrej lady Joy. Powstrzymało go jednak mocne pchniecie w plecy.

Abbas, który nie zdążył doprowadzić swego seraju do kanonicznej czwórki, płonął żądzą zemsty. Tak gwałtowne zmniejszenie stanu osobowego groziło mu nie tylko całkowitą samotnością, ale było również wyzwaniem, niedopuszczalnym wtrącaniem się w najświętsze sprawy.

Otrząsnął się z początkowego szoku, skoczył na równe nogi, zębami zerwał bandaż - bólu w unieruchomionej ręce prawie nie czuł - i schwycił nieodłączny "M-16". Przyszpilił mnicha lufą do ściany jak żuka szpilką i zapytał.

- Ktoś ty?

Norbu nie znał języka białych ludzi i dlatego milczał ale bez słów zrozumiał co oznacza i jakim językiem Przemawia uciskający go pod lewą łopatką chłód metalu. Błyskawiczne przejście od meczących obrotów sansary do wiecznego niebytu własne teraz wydawało mu się szczególnie łatwe i pociągające. Bez udreki, którą przed rozstaniem doświadcza ludzką dusze ulotne, ziemskie piękno, ale i bez zniecierpliwienia Norbu-rim-po-cz'e czekał na wystrzał.

Przy pierwszym dotknięciu stali na wiele długich chwil przed szczęknięciem odbezpieczonego karabinu poczuł, jak jego doskonale ciało rozszarpuje pocisk.

Abbas z doświadczenia wiedział, że w maleńkim raju, na który zasłużył swą głęboką wiarą i pobożnością, wszystko będzie tak, jak sobie zażyczy i nieme hurysy powrócą na pierwsze jego wezwanie - i nie chciał śmierci pogańskiego derwisza.

Słyszał już wiele o potędze tutejszych czarowników i jak ognia bał się ich straszliwego gniewu. Rozsądnie byłoby tego derwisza, który z głupoty wetknął nos w nie swoje sprawy po prostu wyrzucić kopniakiem za drzwi i natychmiast o nim zapomnieć, słuchając uspokajającego akompaniamentu strun i pacząc na błogie płasy hurys. W tym zaczarowanym pałacu, gdzie czas wstrzymał swój bieg a choroby nie miały władzy nad człowiekiem, można było sobie pozwolić na taki pełen wielkoduszności kaprys.

Ale Abbas nie mógł się pogodzić z wyzwaniem, rzuconym jego męskiej godności. Targany sprzecznymi uczuciami stał dość długo, aż wreszcie zdrętwiały palec sam bezwiednie nacisnął język spustowy.

Allach świadkiem, że Abbas nie chciał tego.

Przed rozbłyskiem, błyskawicznym jak otwarcie migawki, Norbu zdołał wyrobić w sobie pełną obojętność odrzę do wszelkich przejawów życia zmysłowego. Zgasił w sobie wszelkie ludzkie uczucia i nawet to wyższe pragnienie do połączenia się z niepojętym. Dążąc do ogarnięcia nieogarnionej władzy pana śmiem -Jamb i uginając się pod jej ciężarem, Norbu oczyszczał swą duszę od osadu pragnień, tak jak oczyszcza się ciało od złości i brudu.

Leciał w bezdenną, nieprzeniknioną przepaść ostatnim przebłyskiem gasnącej pamięci uzmysławiając sobie niejasno, że jest to właśnie Sunjata - absolutna pustka.

Czwartego dnia połączony oddział przeszedł przez pustynię i znalazł się nad rzeką, miotającą się ślepo w kamiennym chaosie Smith jadący na czele, skierował konia wzdłuż brzegu. Pozostali bezmyślnie ruszyli jego śladem. Dni, które spędzili w dolinie nałożyły na nich niezatarte piętno samotności. Stępało zainteresowanie, prawie całkowicie zniknęła ochota do prowadzenia rozmów, wymiany wrażeń, planów. Odczuwalna obecność jakiejś siły, która strzegła ukryte w tajemniczej głębi obrazy i działania, rodziła wzajemną obcość. Ale było i coś innego - wręcz przeciwnego. Myśli, które każdy krył w sobie, często okazywały się wspólne i podjęta przez kogoś z nich decyzja stawała się jakby plonem wspólnych rozmyślań, milczącym przyzwoleniem. Tak też stało się i tym razem, gdy Smith pobieżnie spojrział na okolice i skierował karawana w stronę wąwozu.

Nieważki, wodny pył przyjemnie odświeżał twarz. Mimo dużej wilgotności, powietrze było zadziwiająco lekkie i przyjemne.

Wąwóz nie miał wyjścia. Potok rozlewał się szeroko warkoczami piany i ginał w mroku jaskiń.

Jeźdźcy kolejno zeszli z koni i wręczyli wodze Szerpie. Ang Temba zgonił objuczone jaki razem i otworzył bambusową butle z cz'angiem. Wypił ją co do kropelki i przykucnąwszy zaczął kreślić na ziemi jantry chroniące przed złym urokiem. Potem odwrócił się w stronę gór, odśpiewał zaklęcia, nasunął czapka na nos i prawie demonstracyjnie pograżył się w drzemkę. Czyż nie uprzedzał, że nie zna tutejszych dróg?

Valenti prześliznął się spojrzeniem po pionowej ścianie skalnej upstrzonej jaskiniami i wyszlifowanej przez spływającą wodą. Wyjął lornetkę i skierował ją na grotę, której wejście prawie całkowicie przysłaniała siatka pnącej roślinności. Nad nią zauważył wyraźnie widocznego, wyrzeźbionego w skale i lekko obwiedzonego ochrą konia z promienistym czandamani na wysokim siodle. Ten szczęśliwy symbol sam przez się nie miał żadnego znaczenia i chyba nie był żadnym drogowskazem. Raczej po prostu upamiętniał jakieś miejsce.

Valenti rozwinął beczenną Yang-ke i spróbował porównać ją z okolicą. Wymalowana na zwoju stylizowana góra i strumień ginały w głębinie mogły podpowiedzieć właściwy kierunek. Cała trudność polegała na tym, że Yang-ki nie można było precyzyjnie zorientować według stron świata.

W czasie, gdy profesor zajmował się zwojem, MacDonald zmontował radiostację i nastawił ją na odpowiednią częstotliwość. Zbliżał się moment, w którym włączało się nieznane źródło sygnałów, które okazało się być niezawodnym punktem orientacyjnym.

- Nie ma pani ochoty rozprostować trochę kości? - Smith przeciągnął się z rozkoszą i pociągnął Joy za sobą, oddalając się od rzeki. - Cudowne miejsce! I nawet kwiaty tu są!

Towarzyszyła mu w milczeniu, nie dzielając wcale jego przesadnych zachwyty. Ale i w niej zaszła jakaś niedostrzegalna zmiana. Poczwała ochotę, by otworzyć przed nim dusze, podzielić się uczuciem głęboko ukrytej niepewności

- Czy nie znudziła się pani ta włóczęga po górach i pustyniach? - spytał Smith, wręczając jej skromny bukiet różowych pierwiosnków.

- To nie to, Robercie! - odparła gwałtownie. - Gdyby to ode mnie zależało, już dawno wróciłibyśmy. Ale widzi pan, Tommaso jest jak opętany.

- Jak ja, jak Charlie, jak my wszyscy - smutno zażartował Amerykanin. - Cóż począć?

- Oczywiście, że nic. - Joy w rozdrażnieniu pokręciła głową. - Musimy porozbijać sobie łby o te ściany, na którą natknęliśmy się w samą porę! - Poprawiła rozsypane na ramionach włosy i machnęła ręką. - Jakaż ze mnie była idiotka!

- O czym pani mówi, Joy? - Smith ze współczuciem dotknął jej ramienia.

- A, tak. To drobiazg, Robercie, niech pan nie zwraca uwagi.

- Wydawało mi się, że jest pani szczęśliwa - szepnął, jakby próbując się usprawiedliwić.

- Mylił się pan - sucho oznajmiła Joy, zawróciła i nagle zamarła. Co to Robercie? - szepnęła wskazując na niebo.

Smith uniósł głowę. W mroźnym, przeszywanym dzikimi wiatrami błękitnie, wschodziła nieznana planeta - nieco spłaszczona w jednym momencie połyskująca jak lustro, w innym prawie czarna kulka. Oślepiła ich metalicznym połyskiem, przekreśliła ukośnie nieboskłon i zniknęła za niewzruszoną, wieczną ścianą lodu. Wstrząśnięty Amerykanin zdążył jedynie zauważyć jak przecięty się na niej, tworząc ukośny krzyż, ostre promienie niewidzialnego jeszcze słońca.

MacDonald, któremu właśnie udało się schwytać upragnione zakłócenia zastygł z uniesioną głową i otwartymi ze zdziwienia ustami. Tylko Valenti nic nie zauważył.

- Widział pan? - zawołał Smith podbiegając do towarzysza. MacDonald w milczeniu pokiwał głową.

- Co to... było? - wyszeptał, stopniowo odzyskując mowę.

- Lubi pan fantastykę naukową? - ironicznie uśmiechnął się Smith.

- No, lubię!

- To wie pan już wszystko.

- Czyżby...

- Tak, tak, właśnie to! - przerwał mu ze zniecierpliwieniem Smith. - Statek kosmiczny, automatyczna sonda, boja awaryjna - co pan sobie życzy.

- Panowie też byli tego świadkami? - Valenti, któremu Joy zdążyła już opowiedzieć o wydarzeniu, zbliżył się do nich ze zwojem w ręku. - Sądzicie, że to latający talerzyk? - Błysnął zębami w ironicznym uśmiechu.

- A pan? - spytał ponuro Smith.

- Choć nie byłem szczęśliwym naocznym świadkiem, osobiście wole inną interpretację.

- Jaką? - wrogim tonem zapytał Smith.

- Proszę sobie przypomnieć nauki "Kalaczki" - Profesor z satysfakcją zatarł ręce. - Powiedziano zaprawdę: "znakami siedmiu gwiazd otworzone zostaną wrota..." O, proszę. - Zręcznie rozwinął zwój. - Ta rzeka - wskazał lazurową żyłkę, wijącą się wśród zielonych garbów - płynie na południe...

- Na południowy wschód - uściślił MacDonald.

- Skąd pan wie? - zdziwił się Valenti.

- Wiem - łagodnie, ale z jakąś niepowtarzalną, władczą intonacją, która zazwyczaj odbiera ochotę na zadawanie dalszych pytań, stwierdził MacDonald. - Pójdziemy tam, oczywiście jeżeli potrafimy

- dodał pewnym tonem. Zorientował się, że popełnił błąd i uśmiechnął się. - Zdaje się, że chciał pan coś powiedzieć profesorze?

- Ja? - Valenti zmarszczył brwi. - Ach tak, rzeczywiście. Po prostu chciałem wszystkim nam złożyć gratulacje z okazji przybycia do Szambali! Prawdę mówiąc, do ostatniej chwili nie wierzyłem. Sądziłem, że Szambala to zniekształcona Czampala, to znaczy przełęcz Majtrei i uważałem to za swego rodzaju metaforę.

- No, a pańska ekspedycja? - przypomniał mu Smith. - Czy warto było pchać się tak daleko dla metafory?

- Przecież powinienem się przekonać, czy miałem rację? - Valenti rozłożył ręce. - Proszę mi wierzyć, gra była warta świeczki. Teraz wiem, że Szambala to nie tylko wyższy stopień doskonałości duchowej, lecz i...

- Co? - z nieukrywaną goryczą w głosie przerwał mu Smith. - Co za "i"?

- ... pewien zespół zjawisk które należy zbadać - skończył Valenti jakby nigdy nic.

- Brawo, profesorze! - MacDonald udawał, że klaszcze. - Jestem całkowicie po pańskiej stronie.

- Ładne mi "zjawiska"! A więc wszystko, co przeżyliśmy było tylko złudzeniem? - ni to z wyzwaniem, ni to z żalem zapytał Smith.

- A jak pan myśli? - profesor wywinął się od odpowiedzi. - Tak nie myślę, ale trudno mi zaręczyć, że jest inaczej.

- Bardzo rozsądnie. Podzielał pan zdanie. Właściwie również w klasztorze Moruling w Lhassie i w Taszil-hun-po, gdzie znajduje się bezcenne dzieło trzeciego Panczen-lamy, dawno już uznano, że istnieją dwie Szambale: niebiańska i ziemna...

Proszę mi wybaczyć, panowie, ale chciałbym nieco dokładniej wiedzieć, w której z nich się znajdujemy. - MacDonald z uśmiechem przerwał wykład - Jeszcze żyje, czy już umarłem?

- Chwileczkę - Smith drgnął nagle i wskazał oczyma Joy. Stała koło pontonu, który nie wiadomo jakim cudem znalazł się na brzegu i płakała cicho.

- Pan te go chciał, Bobby? - spytał ostrym tonem MacDonald.

- Wątpię - Smith pokręcił głową.

- A wiec pan? - MacDonald odwrócił się i palcem, jak lufą pistoletu, wskazał Valentiego.

- Tak mi się zdaje, choć nie ręczę...

- Trzykomorowa, sześciuosobowa łódź typu "Pstrąg" - określił Smith. - Specjalnie przystosowana do górskich rzek. Widział już pan coś podobnego?

- Tak - skinął głową Valenti, bezwiednie obgryzając paznokcie. - Mieliśmy identyczną w czasie badań źródeł Mekongu.

- Za nic na świecie nie wsiądę do tej łódki. - Joy nerwowo zapaliła papierosa. - Mam tego dość.

- Ale dlaczego? - zmartwił się Valenti. Mam wrażenie, że nie powinniśmy odrzucać takiego zaproszenia, jeżeli w ogóle chcemy coś zrozumieć.

- Ja również tak uważam - popart go z zapalem Smith. - To jest jak obrzęd inicjacji, który trzeba przejść, by zostać dopuszczonym do tajemnic.

- Albo test - skinął głową Valenti.

- Obrzęd! Test! Nie możecie, panowie, mówić bardziej zrozumiałym językiem? - MacDonald uśmiechnął się, że ogarnia go wzburzenie. - Nie mam nic przeciwko uczestniczeniu w takiej grze, ale zanim się do niej przyłączy, wolałbym ustalić jej zasady i określić stopień ryzyka.

- Obawiam się, że to gra bez reguł - z goryczą odparł Smith.

- Dlaczego? - zaproponował Włoch. - Ja odnoszę raczej wrażenie, że prowadzimy dialog z jakimś komputerem, który próbuje wszechstronnie nas ocenić.

- I nawet pozwala korygować zadanie techniczne na displayu?

- I bardzo dobrze! - Valenti złożył dłonie w geście dziękczynienia - To kolejny dowód, że nie mamy do czynienia z wszechwiedzącym bogiem. On też się uczy, doskonali... Uważam, że powinniśmy wziąć tylko niezbędne rzeczy.

- Jeżeli to koryto w ogóle może pływać: - MacDonald dał do zrozumienia, że przyłącza się do większości. - Ja również odniosłem wrażenie, że jego wszechmoc jest nader ograniczona. Zdolny jest tworzyć jedynie to, co sam dobrze zna.

- Albo to, co wiemy my - uściślił Valenti.

- W tym rzecz, że tak naprawdę, to nie wiemy prawie nic... Dlatego proponuje, by najpierw wypróbować te łajbę.

- Zgoda! - Valenti z zadowoleniem machnął ręką. - Słyszałaś naszą rozmowę, kochanie? - pochylił się w stronę Joy i szepnął do niej po włosku.

- To okrutne doprowadzać mnie do szaleństwa! - krzyknęła szeptem. - Czemu nie możesz tego pojąć?

- Dobrze. - Valenti pochylił głowę. - Daj mi jeszcze pięć, najwyżej sześć dni i wrócimy. - Chcesz zbadać jaskinie?

- Tam musi być przejście.

- I odejdziesz, nie próbując nawet popatrzeć? Nie wierze!

- Dałem słowo i dotrzymam go. Tylko sześć dni, najwyżej tydzień...

Błędy konstrukcji i ukryte wady materiału dały o sobie znać zbyt późno, w chwili, gdy nic nie można już było zmienić. Najpierw nie wytrzymało wiosło. Gdy MacDonald próbował wyminąć skałę, na którą niósł ich nieubłagany prąd, aluminiowa łopata zaledwie otarta się o kamień i natychmiast odpadła. Przez jakiś czas łódka, prawie niesterowna, w miarę pomyślnie płynęła z prądem, wpadając na głazy i trąc nadymanymi burtami o najrozmaitsze szorstkie i ostre fragmenty skał.

Kiedy wreszcie wyszarpało dziurę w dnie i w łódkę wlało się ze sto litrów lodowatej wody, okazało się, że guma nie utrzymuje ciśnienia i drogocenne powietrze bezpowrotnie ulatuje przez mikroskopijne pory.

Czy ma pan choć najmniejsze wyobrażenie o strukturze elastomerów? - MacDonald poczuł, że przemókł do nitki i nie mógł powstrzymać się, aby nie robić wyrzutów.

- A pan? - odciął się szczekający zębami Valenti.

- Niech diabli wezmą ten pański pomysł! - przemarznięty do szpiku kości Australijczyk upadł pierśią na sflaczałą burtę. Łódka przechyliła się i nagle przewaliła na bok. Gwałtowny strumień wody w mgnieniu oka zmył ludzi i ładunek. Obracało ich w niesamowitym wirze, uderzało o kamienne sklepienia, pod którymi kłębiła się brudna piana i niosło, niosło, to wciągając w bezdenne głębie, to wyrzucając na powierzchnię.

MacDonald pierwszy odzyskał przytomność. Odsunął się od ognia, który porządnie osmalił mu bok i z jękiem zmienił pozycję. Patrzył na oświetlone odbłyskami płomieni sklepienie, z którego spadały ciężkie jak stalowe kulki krople i nie bardzo mógł pojąć, co się z nim dzieje. Potem zobaczył ognisko i leżące przy nim dwa ciała, nad którymi kłębiła się para. Gdy poleżał tak przez dłuższą chwilę, zauważył z radością, że przestało go boleć porozbijane ciało, że rytm oddechu i bicie serca wróciły do normy.

Wkrótce mógł już bez specjalnego trudu wstać i rozejrzeć się wokół. Obydwaj jego towarzysze najwyraźniej żyli, bo udało im się samodzielnie zmienić położenie i odsunąć od ogniska. Było to głębokie omdlenie lub też zdążyło już ono przejść w sen.

Zegarek, podobno wodoodporny, który też przeżył lodowatą kąpiel, stał. W odległym wyłomie wejścia migotały ledwo widoczne gwiazdy.

"Ile czasu minęło?" - spytał sam siebie MacDonald i dręczące uczucie głodu odpowiedziało mu, że dużo...

Poczuł drażniący zapach pieczonego mięsa i bez trudu odnalazł ułożone z zakopconych kamieni prymitywne palenisko, nad którym potężne udo baranie ociekało syczącym sosem. Nieco dalej podgrzewało się do właściwej temperatury sake w tradycyjnych japońskich ołowianych dzbankach, a w glinianej misce lśnił polany obficie oliwą ryż z frutti di mate.

Australijczyk chciwie łyknął ciepłą wódkę prosto z dzbanka, splunął na węgle i zaklął wściekle przez zęby.

Swego czasu, gdy los rzucił go do Tokio, pił tam taką samą łagodną i nieco słodkawą wódkę. Ale to było pół biedy. Gorzej wyglądała sprawa z rizotto, które MacDonald jadł swego czasu w Famaguście. Przypomniawszy sobie idiotyczną piosenkę Smitha i zamyślił się głęboko. Zdrowy rozsądek mówił mu, że pora kończyć sprawy jak najszybciej jeżeli nie jest już za późno" - trzeźwo ocenił sytuację.

Boleśnie ukłuło go wspomnienie kontenerów, które zostawił pod pieczę Szerpy i prawie natychmiast ztliła się w nim nadzieja. Powtórzył w myśli parametry siatki diamentu, skoncentrował myśl na szlifie i tak jak tam, w willi, unaoznał sobie migoczące stopy i błękitne iskry.

Ale tym razem nic się nie stało. O n i - teraz MacDonald myślał o nich w liczbie mnogiej - wyraźnie znudzili się jednostajną zabawą.

Przyszła mu do głowy nieproszona, całkiem obłąkańcza myśl.

Z a p r a g n ą ł e m i zaprzedałem dusze. Nie mam już drogi powrotu. Cóż za bzdury pchają się do głowy... Precz z tymi głupotami! Spokojnie zjeść, spróbować osiągnąć zadowolenie, wysuszyć odzież nad ogniskiem i spać, spać..."

Obudził się późno. Smith i Valenti już wstali i coś jedli bez apetytu siedząc przy wygasłym ogniu Daleka, rozproszona poświata wskazywała wyjście na drugą stronę, ale nikt się nie spieszył tak jak wczoraj.

Mgliste marzenia, podświadome nadzieje, niekontrolowane przez umysł pragnienia - wszystko to stało się niezwykle niebezpieczne. Normalna, przebiegająca jakby bez udziału woli praca umysłu stała się podobna do ślepego błędzenia po polu minowym. W każdej chwili mógł nastąpić wybuch. Niebezpieczeństwo kryło się w sąsiedzie, w samym sobie, przede wszystkim w szczerości, gdy opadały więzy i zasypiali niewidzialni strażnicy.

- Jak pan się czuje, Charlie? - zapytał elegancko Smith widząc, że współtowarzysz nie śpi.

- Dziękuję, a pan?

- Wspaniale, Charlie, jak zawsze... Nie jest pan głodny?

- Nie. - MacDonald od razu wszystko sobie przypomniał i uznał, że nie należy odwlekać rozwiązania tej sytuacji. - Wiecie panowie, postanowiłem, że wycofuję się z gry. Zawracam.

- Być może ma pan rację. W głosie Włocha zabrzmiała ulga. - Na swój sposób, oczywiście. A czy pan, Roberto, nie zmienił decyzji?

- Pójdę z panem, Tom.

- A więc proszę, przyjacielu, niech pan zaopiekuje się Joy! - Valenti gwałtownie odwrócił się w stronę zbierającego rozłożoną na kamieniach odzież Australijczyka. -Jeżeli nie wrócę, nie wrócimy- poprawił się - powiedzmy po upływie tygodnia, niech pan jej pomoże powrócić do cywilizowanego świata.

- Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy - obiecał MacDonald.

Smith i Valenti odprowadzili MacDonalda i zaczęli szykować się do drogi. Profesor wyszedł na półkę skalną i osłonił dłonią oczy. Za gajami muszkatowców, za rzeką z jej wodospadami i zarośniętymi lotosem starorzeczami, za górą - Valenti ujrzał pięć ośnieżonych szczytów.

Była to wielka Kanczendzanga i gdzieś tam, u jej podnóża, spowitego kłębami żółto-zielonych par, kryło się tajemnicze wejście do zaklętej krainy. Srebrnoszara, tytanowa kula bezszelestnie przesuwiała się w zaczarowanej ciszy.

- To sur - z uśmiechem wyjaśnił Valenti i skierował lornetę na trującą chmurę. - Strzeże Szambali.

- No proszę! - obojętnie odparł Smith.

Niedawno każda aluzja dotycząca tajemniczej krainy powodowała, że zaczynał snuć gorączkowe domysły, ale teraz i tak wiedział już wszystko, co wiedzieć powinien i nie czuł potrzeby podzielenia się tym z innymi osobami. Poprzednie życie zszarzało ostatecznie, a wraz z nim umarła i ciekawość.

- Jestem przekonany, że zdołamy pokonać te ostatnią przeszkodę! - Starając się nie okazywać radości profesor powoli chował lornetę.

- Życzę panu powodzenia, Tom. Jestem pewien, że wszystko będzie o key

- Porzuca mnie pan? - Valenti natychmiast posmutniał. - Ale dlaczego, Roberto?

- Tak trzeba, profesorze. Rozstaniemy się przy tych schodach. Widzi pan? Zasypane są białymi kwiatami.

- Czy spotkam pana, gdy będę wracał? - spytał Valenti patrząc Smithowi w oczy.

- Nie wiem. - Amerykanin spojrział w bok. - Niech pan próbuje...

- No cóż, pójdę sam. Powiniennem dowiedzieć się, co tam jest. Dowiem się.

- Mną też stale kierowało poczucie obowiązku. Ale teraz, Tom, ostatecznie zrozumiałem, że nic nikomu nie jestem dłużny. Nawet samemu sobie.

- I nie wydaje się panu, że jakoś pana zubożyło?...

- Zubożyło? Pan żartuje, Tom! Stałem się ostatnim nędzarzem! Ale to obdarzyło mnie zadziwiającą wolnością.

- A więc żegnaj przyjacielu. Nie mam już panu nic do powiedzenia.

- Żegnam pana signore!

Uścisnęli się, postali tak chwile i rozeszli, bowiem każdy z nich znalazł swą prowadzącą w dół ścieżkę.

Rankiem Joy odszukała Szerpę, który zdążył już opróżnić cztery butle cz'angu.

- Mam zamiar odwiedzić t e n dom, mister Temba. Mam już dość oczekiwania całymi dniami i zdychania z nudów. Chciałabym się trochę przewietrzyć.

- Weźmie pani jaki?

- Wole pozostawić je pod pańską pieczę. Kiedy wróci mister Valenti, to proszę mu powiedzieć, gdzie jestem, dobrze?

- Ale ja nie czekam na mister Valentiego, madame, mam czekać na mister Smitha. Jeszcze cztery dni madame. Piątego ranka będę wolny.

- To wszystko jedno, przecież poszli razem... Innymi słowy, wie pan, gdzie mnie szukać.

- Rozumiem, madame. W każdym razie przyjadę po panią w drodze powrotnej. Czy życzy pani sobie bym przyniósł siodło?

- Niech pan będzie łaskaw, mister Temba - Joy skinęła głową. - A ja pójde się pakować.

Wyjechała o dziesiątej i koło południa przekroczyła granice pustyni, na której już nie mogła znaleźć miejsca, by się ukryć i przeczekać upał. Bezczmurne niebo i odbijające się od pokrytego miką żwiru promienie słońca szybko dały się we znaki niedoświadczonej podróżniczce. Mimo - "stetsona" i okularów przeciwsłonecznych ledwo trzymała się w siodle. Ciężkie powieki opadały mimowolnie, w skroniach i potylicy narastał ciężki ból.

Gdy dostrzegła samotną, rzucającą długi cień postać pomyślała początkowo, że to halucynacja. Przymknęła zmęczone oczy, poczekała aż trochę przygasną tańczące, purpurowe kręgi i ostrożnie uniosła dygoczące rzęsy. Cień nie zniknął. Joy popędziła muła i wkrótce zrównała się z wychudzoną staruchą, która wlokła się nie wiadomo gdzie po rozpalonych kamieniach.

Przytrzymała nieco wodze chciała zapytać o coś biedną podróżniczkę, ale nic nie przyszło jej do głowy. W uszach dudniło, świadomość tonęła jak w lepkiej mgle. Joy przejechała obok i gdy prawie zapomniała już o spotkaniu, nagle gwałtownie ściągnęła wodze. Przez mózg przeleciała koszmarna myśl.

Joy zrozumiała, kogo podświadomie przypominała jej ta oberwana starucha w podartej niebieskiej bluzce i wytartych dzinsach. To była ona sama, w swoim ubraniu, ale postarzała o jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt lat.

Joy długo patrzyła w ślad swej odchodzącej przyszłości.

- Tommaso! Kochany, jedyny - szepnęła - Jak wiele mi odsłoniłeś... Szkoda tylko, że tak późno. Wybacz.

Nie tylko umysłem, ale całym swym jestestwem zrozumiała straszliwą prawdę - w tej dolinie śmierć była bezsilna wobec tych, którzy bali się umrzeć.

Gdy MacDonald zbadał cały system jaskiń, przekonał się, że wpadł w pułapkę. Jak zwykle przy słonecznej pogodzie śniegi topniały gwałtowniej woda podniosła się i zalała dolne galerie. Teraz by popłynąć pod prąd, w kierunku wejścia, musiałby dysponować przynajmniej motorówką, a nie gumową łajbą. Wydostać się z pieczary można było oczywiście kosztem znacznego wysiłku, po sklepieniu, jak jaka mucha czy jaszczurka. MacDonald zapalił pochodnie i pedantycznie obejrzał wilgotny, stalaktytowy strop. Zapowiadała się niezła robota. Żeby dobrze umocować haki, najpierw trzeba było odbić łamliwe, wapniowe nacieki. I wszystko to powinien MacDonald zrobić sam, własnymi rękoma. Po tej historii z gumową łódką nie można było ufać "sile umysłu" Co innego wyobrazić sobie diament - rzecz o prostej strukturze, co innego zaś - syntetyczny kauczuk, którego dokładnej formuły nie pamiętał nawet dyplomowany chemik Smith. Dlatego też należało całkowicie odrzucić wszelkie wyroby polimerowe, gdyż ich wytrzymałość w decydującym stopniu zależała od mikroskopijnych defektów struktury. MacDonald przypomniał sobie historie z wiosłem i wykluczył również wszelkie stopy. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie mógł wybudować nie tylko jakiejś maszyny, ale nawet czegoś najprostszego - lotni, czy też balonu którym bez obaw mógłby wierzyć życie. "Jakże wrażliwa jest cywilizacja - przemknęła mu myśl -Gdy tylko znikną informatory i podręczniki, człowiek musi sam tworzyć wszystko od nowa, jak jakiś Robinson".

Superkomputer, jeżeli istotnie był to statek z innej planety, na myślowy impuls odpowiadał dość różnie. Czasami, reagując na jakiś minimalny impuls w strefie podkorowej, tworzył stabilne produkty o niewiarygodnym stopniu komplikacji, czasami zaś popełniał niewiarygodne błędy w najprostszyc rzeczach. MacDonald przekonał się w czasie swych eksperymentów, że największą stabilnością odznaczały się właśnie spontaniczne reakcje nieznanego gospodarza doliny. Wyglądało to tak, jakby czerpanie wzorów z podświadomości było dla niego ciekawym, pociągającym zajęciem, podczas gdy wypełnianie dokładnych, inżynierskich zadań stanowiło coś w rodzaju nudnej rutyny

Pierwszy hak wszedł, chwala Bogu, dobrze i trzyma mocno. Alpinista tej klasy co on, może polegać na własnych siłach. Tym bardziej że ma z czym wracać do domu. Najważniejsza sprawa - to naprowadzić na cel, a później przetartym szlakiem pójść satelity, śmigłowce specjalne ekspedycje W mgnieniu oka wykonają całą czarną robotę, na którą pojedynczemu człowiekowi nie starczyłoby całego życia, potem zaś włączy się centrala obliczeniowa, poukłada wszystko do szufladek, zrobi ostateczny bilans, jasny rak dwa razy dwa i wyciągnie wnioski, w którym nie będzie miejsca na żadne tajemnice. A wtedy każdy otrzyma według zasług. Za MacDonaldem stoi wszechmocna organizacja, która dysponuje najnowocześniejszą techniką i nieograniczonymi funduszami. I to jedyna rzecz, o której powinien pamiętać we dnie i w nocy.

Przystojny mężczyzna w wieku czterdziestu lat którego fotografia widniała w australijskim paszporcie wydanym w Sydney na nazwisko Charlesa MacDonalda, uważany był w Langley za specjalistę najwyższej klasy. Zazwyczaj otrzymywał wyjątkowo delikatne zadania, takie, które wymagały szczególnego taktu i wyczucia sytuacji międzynarodowej. Dopiero wyjątkowe okoliczności zmusiły kierownictwo do włączenia go do programu "Człowiek śniegów", który początkowo funkcjonował zupełnie gładko.

Punkt śledzenia badań atomowych został w tajemnicy zmontowany na górze Nanda Devi już w 1985 roku. Aparatura zasilana praktycznie wiecznymi bateriami plutonowymi pracowała bez zarzutu przez ponad dziesięć lat, kontrolując rozległe obszary Środkowej i Południowej Azji. Pierwsze komplikacje pojawiły się, gdy niespodziewana lawina dorwała urządzenia i zniosła je w stronę źródeł Gangesu, wypływającego z lodowej pieczary "Krowia mordą". Nad świętą rzeką, która zaopatrywała w wodę prawie potowe Indii, zawisła groźba skażenia radioaktywnego. Wysłane natychmiast ekspedycje alpinistyczne, wyposażone w najnowsze liczniki cząstek radioaktywnych, wróciły, z pustymi rękami. Zaginiona stacja która mogła na trzysta lat zatruc

wodę w rzece, w której codziennie dokonywały rytualnych ablucji dziesiątki milionów Hindusów przepadła bez śladu. Dopóki Waszyngton milczał, wszystko szło swoją koleją - starszowie spieszyli do Benares, by umrzeć na świętych brzegach i bez najmniejszej zwłoki włączyć się do koła życia, zaś niezliczeni pielgrzymi w dalszym ciągu roznosili świętą wodę po wsiach i miastach.

Kiedy wiadomości o awarii na lodowcu Nanda Devi przedostały się do prasy, wybuchł koszmarny skandal, który zmusił CIA do chwilowego zamrożenia długofalowego programu. Dopiero po upływie kilku lat, gdy prasa przycichła, znów podjęto pracę nad rozbudową nowej sieci.

Dla zmodernizowanej stacji, wyposażonej w system awaryjny, wszczynający alarm przy najmniejszym przemieszczeniu aparatury, wybrano najpustynniejszy i najtrudniej dostępny fragment "Gór śnieżnego człowieka". Stacje uruchomiono w najściślejszej tajemnicy w bieżącym roku, ale z powodu nieznanymi zakłóceń, jakby specjalnie dostrojonych do aparatury nadawczej, cała ta impreza nie przyniosła żadnych rezultatów. Całą zakodowaną informację kompletnie zagłuszały szумы. Ta właśnie nieprzewidziana komplikacja zmusiła kierownictwo w Langley do wezwania z niespokojnego regionu Morza Śródziemnego swego najzdolniejszego pracownika, posiadającego w dodatku odpowiednie przygotowanie alpinistyczne i do przerzucenia go w rejon Himalajów.

MacDonald wykonał swoje zadanie w ciągu jedenastu tygodni, nie licząc czasu koniecznego na aklimatyzację i zapoznanie się z warunkami. Jednakże zdobyta przezeń bezcenna informacja w dalszym ciągu była bezużyteczna. Rezultat wyjątkowej operacji, która niewątpliwie będzie obiektem badań w szkołach wywiadowczych, zależał obecnie od takich błahostek jak haki, liny, czy blok przeprawowy.

MacDonald przeanalizował wszystkie swoje dotychczasowe poczynania i ocenił je pozytywnie. Nawet chwilowe zaćmienie umysłu rzymskiej willi było niezbędne do skonstruowania ogólnego obrazu. Był to swoisty eksperyment, bez którego dalsze tarapaty mogły się źle skończyć. MacDonald wiedział, bądź w najgorszym przypadku domyślał się istnienia stale czuwającego oka dlatego nie założył w jaskini ładunku wybuchowego, by kierunkową eksplozją usunąć zagrażającą przejście wodę. Nie będzie również przeprowadzał ryzykownej próby zniszczenia źródła zakłóceń uderzeniem atomowym choć mógłby bez trudu stworzyć dwie półkule z plutonu lub uranu 235 i siłą woli połączyć je gdzieś w pobliżu latającej kuli. Nie! Nawet myśli na ten temat są niebezpieczne. Trudno przewidzieć, jak o n i zareagują na agresję, choćby tylko pomyślaną...

Dopiero gdy do krwi ugryzł się w rękę, udało mu się wyzwolić od natrętnych skojarzeń. Znów przestawił się na samoanalizę i doszedł do niezbyt pocieszającego wniosku, że o ile do historii z pontonem zachowywał się, ogólnie rzecz biorąc, poprawnie, to wszystkie dalsze jego poczynania były łańcuchem kolejnych błędów.

I znowu pojawił się, odrzucony przed chwilą zespół myśli. Wrócił do niego i umocnił w świadomości. MacDonald zacisnął zęby.

Nie ma prawa o tym myśleć!

Ale nawet ból, który pojawił się pod plombą, nie przeszkodził mu w udzieleniu odpowiedzi na pytanie, które znów wypłynęło z otchłani, gdzie kształty i słowa nie łączyły się z przedmiotami i obrazami.

"Dlaczego pluton? - zadał sobie pytanie. - A nie uran?"

Zrozumiał wtedy, że pomyślał o tym izotopie tylko dzięki asocjacji z baterią zasilającą stację śledzenia. Przyczyny i skutki stworzyłyby koło, nierozzerwalne jak obręcz na szyi człowieka przykutego do pręgiarza.

MacDonald ocknął się, słysząc brzęknięcie żelaza. Zapalił następną pochodnię i bez trudu odnalazł hak, który wypadł z takim trudem wykutego otworu. Było to co najmniej dziwne, ale nie kolidowało z prawami przyrody. Z charakterystycznym dla siebie uporem MacDonald wybrał nowe miejsce i znów zaczął odbywać wapniowe nacieki. Zdołał odpędzić nieproszoną wizję choć nie podejrzewał, że jego własny umysł szykował nową pułapkę.

W jego mózgu pojawiła się i utrwaliła myśl, która sprawiła, że bezsilnie opuścił uniesioną rękę i wypuścił młotek.

Jeżeli informacji o dolinie nie można było przekazać za pośrednictwem fal radiowych, to trudno uwierzyć, by dało się tego dokonać za pomocą innych środków. Człowieka, a właściwie jego umysł, łatwiej trzymać w niewoli niż nieuchwytny kwant elektronów.

MacDonald zaczął miotać się po wąskim korytarzyku, napelnionym świstem i grzmotem zbliżającej się wody. Myśli rozsypywały się i opadały, jak zetlałe łachmany. Wola, chęć stawiania oporu, zostały złamane.

I tylko plamka światła, padającego tu z szerokiej, wonnej doliny, do której nie chciał zstąpić, szarzała przed nim jak odbłask nadziei.

"Wychylić kielich do dna..."

Dzień, chmurny i krótki, jak zwykle w zimie gasł w oczach. Smith ledwo zdążył załadować bańki z klonowym sokiem, gdy prześwitujące między drzewami niebo, a zarazem zasy i nadtopione czapy na sosenkach pochłonął głęboki błękit.

Pokryte szronem konie parsknęły, wydmuchując kłęby pary, niechętnie ruszyły z miejsca i brnąc w śniegu wyciągnęły sanie na drogę. Sucho pisnęły płozy, wcinając się w oblodzone koleiny, zadzwoniły, uderzając o siebie, napelnione bańki.

Smith wiedział i zarazem nie wiedział, dokąd wiozą go poskrzypujące sanie. Kiedy ukazał się plujący iskrami komin i malinowo oświetlone okienko przypomniał sobie samotną warzelnię cukru i poczuł lekkie rozczarowanie. Miał wrażenie, że źle ocenił te objawy, że sugerowały mu inne spotkanie. Hucząca paszcza pieca, przysłonięta częściowo rozpalonymi drzwiczkami, przekształciła się nagle, jak we śnie w kominek, w którym pękały rozpalone węgle. Na dywaniku, położywszy pysk na wyciągniętych łapach, czujnie drzemała stara Sandy Długo patrzył na psa i nie wpadło mu do głowy, by popatrzeć za siebie. Kiedy jednak odwrócił głowę, nie zdziwił się widząc wszystkich w komplecie.

Zapewne w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że coś takiego jest po prostu niemożliwe. Ale jednak siedzieli wszyscy razem, jak na zdjęciu, z rękami na stole: ojciec w starej bonzurce, mama w szlafrocuku i Lien z maleńką Beverley na ręku.

Smith nie pamiętał, w jaki sposób znalazł się za stołem, jak dotknął palcem żółtych plam na wychudzonej ręce matki. Pochylił się w stronę ojca, by w nieprzeniknionej głębinie uchwycić choć cen rozpoznania i ojciec odpowiedział mu słabym uśmiechem.

- Gdzie byłeś tak długo? - z delikatnym wyrzutem spytała matka.

W rzeczy samej, gdzie był? Smith nie mógł przypomnieć sobie ani lat, które przeżył, ani poszczególnych wydarzeń. Nie wiedział, po co w ogóle była potrzebna ta tragiczna rozłąka, nie rozumiał, jak mógł być tak daleko od swych bliskich, myśląc z bólem, że nie wie, czy żyją jeszcze. W niewyobrażalnej teraz dali domyślał się chyba, że został całkiem sam, ale nie wiedział o tym dokładnie, choć próbował się dowiedzieć, kto kiedy umarł. Chociaż nie, chwilami podejrzewał, że przeczucia go oszukały, że kogoś jeszcze można uratować i płacząc we śnie biegł na pomoc.

- Tak na ciebie czekaliśmy, a ty wciąż nie przychodziłeś - nie odwracając woskowej twarzy, powite dział obcym głosem ojciec.

- Tak, bardzo na ciebie czekaliśmy - przytaknęła Lien i ze smutkiem skinęła głową. - Myśleliśmy już, że nas nie zastaniesz. - Mama powoli cofnęła rękę.

- Nawet zaczęliśmy cię zapominać - przyznała się Lien.

- A ja najpierw zaczęłam zapominać, tatusiu - wyciągnęła do niego rączki córka. - Ale teraz przypominałam sobie.

Smith domyślał nie, że musi zdobyć nie na nieprawdopodobny wysiłek i dać upust rozpaczy, która nie pozwalała mu ani mówić ani oddychać. I gdy tylko zaczął domyślać się, jak to zrobić, nagle zadał mrożący krew w żyłach wiatr, wydmuchując żar spod popiołu.

"Dlaczego mówią do mnie jakby po kolei? - zadał sobie pytanie. - A nie wszyscy razem, przerywając jedno drugiemu jak to bywa przy dawno oczekiwanym spotkaniu?"

"Nie pytaj martwych - ukłuła go w serce odpowiedź. - Oni nic nie mogą opowiedzieć".

Smith domyślał się, że jest jeszcze w stanie ostatnim wysiłkiem nakarmić gasnące cienie, wejść w ich widmowy krąg i zostać tu, dopóki we wszechświecie nie rozwieje się jego żywe ciało.

To była wielka pokusa, choć nie miał już żadnej wątpliwości, że drogie obrazy nie mogą mówić. Siła, która je stworzyła, nie była władna obdarzyć glinę uchem i pamięcią. Pozostawiono mu swobodę wyboru, a on nie zechciał zamknąć nie w wiecznym milczeniu.

Pokój z wygasłym kominkiem wyblakł i stał się przeźroczysty

I wkrótce księżyc, doskonały i martwy rozpędził ostatnie cienie. Drżąca ścieżka oświetliła antracytowy żwir i przekształciła pustynię w jezioro.

Smith wiedział już, że pójdzie tam, w te dzikie góry okryte parami ciężkich metali. Wszystko co jego mózg we śnie zbierał i układał w komórkach nieoczekiwanie ułożyło się w jakiś, na razie jeszcze chimeryczny system. Pomiędzy urywkowymi wiadomościami i aluzjami zaczęły powstawać więzi przyczynowe, za którymi widniało, albo raczej dało się wyczuć rozwiązanie zagadki.

Ostrożnie, jakby próbując gruntu pod nogami, Smith dążył na spotkanie tego odświeżającego powiewu. Przeszedł przez pałający żarem i przepelniony widziadłami labirynt, wyrwał się z majaków. I razem ze zdjętymi czarami, opadły więzy które krepowały jego myśli. Smith nie odważył się jeszcze na śmiały lot ku odległym wyżynom, tam gdzie widniało wyzwolenie, lecz chciwie uchwycił się pierwszej deski ratunku, którą tak w porę podsunęła mu pomieć Dziwne było tylko to, że on, chemik, nie rozpoznał od pierwszego spojrzenia przyczyny tak niezwyklego zabarwienia par, otulających tajemnicze wejścia. Tylko miedź w sąsiedztwie uranu mogła dać tak charakterystyczne widmo!

Smith oczywiście pamiętał, że w Afryce geolodzy odkryli naturalny reaktor, w którym przez tysiąclecia przebiegała spowolniona reakcja łańcuchowa. Od razu narzucał się wniosek, że coś podobnego mogło zdarzyć się również i tutaj, u stóp Kanczendzangi W naturalny sposób wyjaśniał on ślady technetu w miedzi, która stanowiła podstawę bhutańskich brązów. Podobnie jak grzyby atomowe na zwoju przedstawiającym Dankana pędzącego przez dym i płomienie na koźle o spiralnych rogach, technet mógł być ostrzeżeniem, które pozostawili ludzkości współbracia stojący na wyższym szczeblu rozwoju. Choć Smitha irytowała oczywiście fantastyczna banalność takiej koncepcji, to jednak sferoid unoszący się nad górami, zagłuszanie fal radiowych i inne tajemnicze osobliwości doliny nadawały jej spore prawdopodobieństwo.

Ostrzeżenia były wystarczająco zamaskowane, by nie rzucać się w oczy. Należało je odkrywać i to na różnych etapach myślenia i kultury Mit ze swą skomplikowaną symboliką i obrzędami odwoływał się do atawistycznych instynktów. Spektrometria masowa pobudzała zdrowy rozsądek i od widmowego, lecz nie poddającego się powierzchownej interpretacji obrazu zaniepokojona myśl powracała mimo woli do wieloznacznych, pełnych przesądów opowieści na temat doliny.

"Może nie tylko tutaj - myślał Smith doskonaląc logiczną konstrukcję wyводу - ale i na innych planetach utrwalała została pamięć katastrof, które położyły kres ewolucji rozumu we Wszechświecie? I ten, kto przyniósł te tak wspaniale ukrytą informacje - obojętnie, czy byli to ostatni mieszkańcy niebios czy ich automaty - zadbał, by nie miał do niej dostępu człowiek niegodny".

Coś mówiło Smithowi, jeżeli nie było to kolejną halucynacją, że przeszedł wszelkie próby i stoi teraz przed ostatnim, najważniejszym testem.

Wielki Architekt, w którego istnienie Smith w żaden sposób nie mógł uwierzyć, powinien być wszechwiedzący i w konsekwencji nie potrzebował stosować żadnych prób czy testów. Należało również wykluczyć starodawne czary, bowiem w żaden sposób nie dało się ich pogodzić z aparatem latającym. A więc, Bóg z nimi, z niespójnymi stereotypami, przekazywanymi z pokolenia na pokolenie jak wytarte jednocentówki. Z tajemniczych przybyszów, dobroczyńców z dalekiej przyszłości trudniej było zrezygnować, ale Smith i ten balast wyrzucił za burtę.

Nieznane, z którym nikt i nigdy jeszcze nie miał okazji się zetknąć, wydało mu się pustką.

Księżyc w pełni wzywał go w nieznaną drogę.

"Famagusta - przez myśl przemknęło mu znajome słowo, i jakby echem odezwało się: "Holocaust"... "Masowa zagłada... Nazistowskie piekło na ziemi..."

Z przełęczą idzie karawana - zameldował naczelnemu łamie obserwator. - To oni wrócili.

- Wszyscy? - niesłychanie zdziwił się starzec o twarzy pociemniałej figurki z drzewa sandałowego.

- Jest ich bardzo mało - odpowiedział obojętnie mnich i otulił się szkarłatną szatą.